WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

POCZET NOWY DRUGI.

TOMIK SIÓDMY.

WILNO.

JÓZEF ZAWADZKI WŁASNYM NAKŁADEM.

1839.

Pozwolono drukować, pod warunkiem złożenia, po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych, w Komitecie Cenzury. Wilno 1839 r. 3 Julii.

Cenzor, Sowietnik Wileńskiej Medyko Chirur. Akademii JAN WASZKIEWICZ.

LEGENDA O POETACH.

Jeżeli kiedykolwiek mamy się zbliżyć do epoki wiary poetyckiéj; jeżeli dzieła przyjmowane dzisiaj z obojętnością pogardliwą nabędą rozgłosu i chwały sprawiedliwie zasłużonéj; jeżeli czoła i skronie apostołów uczucia i myśli otoczy jasność promienista, wtenczas się napisze legenda o poetach, podobnie, jak ją mamy o wszystkich znakomitych ludziach, którzy za cel wspaniałomyślny, w szlachetnéj sprawie, do walki występowali, narażając się na cierpienia; albowiem poeci byli częstokroć poprzednikami idei wzniosłéj, lecz nie dobrze pojętéj jeszcze, która w późniéj-

szym dopiero czasie owoce swoje wydadź miałą. Postępowali oni na czele swojego wieku pojedyńczo, nie trwożąc się bynajmniéj ze swojego osamotnienia, ni się troszcząc o zawady na drogach nieznajomych napotykane. Wiara żarliwa, górna otucha, usiłowania ich wspierały. Gwiazda genjuszu przewodniczyła im w podróży; niektórzy dosięgnęli lądu swoich marzeń złotych, lecz kiedy z tryumem, w łódce swéj na przygody wystawionéj, zmierzali do brzegu, wnet się ta o piérwszą opokę roztrzaskała. Dzieje tego, który odkrył świat nowy, są dziejami wszystkich, co to się na trudne wynalazki, w świecie idei wyprawili. Tamten pomknął się zuchwale po za kresy przestworu i po za krańce oceanów, na które gmin ludzi zabobonne i bojaźliwe rzucał wejrzenia. Powraca dopomnieć się o wieniec laurowy, a tu nań męczeńska palma czeka; otworzył swobodny niezmierzony gościniec, i sam został niewolnikiem; zbogacił swojego króla i swój naród, a całe mienie jego było mu wydarte. Za życia jego jeszcze, udano się na zbieranie plonów z ziemi którą

on odkrył, a ziemia ta imienia nawet jego nie nosiła. Podobnie się dzieje z poetą: nieszczęśliwy żeglarz, który bez trwogi naraził się na burze oceanu, a nie umié ścieszki sobie pomiędzy ludźmi utorować; biédne dziécię genjuszu, które sięga do najtajemniejszych kryjówek myśli ludzkiéj, a nie zdoła pojąć najpowszedniejszéj zwyczajnego życia rachuby; godne politowania uprzywilejowane jestestwo, które bogi, jak powiada Szyller, sadowią obok siebie, a które ani dziedziny ani miejsca na świecie niéma.

Wielu poetów nie dostąpiło wsławienia się po które sięgali; lecz wszyscy prawie otrzymali sławę z nieszczęścia, chrzest cierpień. Przetoż zamilczam już o tych wielkich znamienitościach, i o tych niezmiernych niedolach znajomych każdemu: nie mówię nic o Homerze ślepym, o Dancie wywołańcu, o Tassie więzionym w szpitalu jako szaleniec; nie wspominam rozbicia się na morzu Kamoensa, niewoli Cerwantesa. Znajdują się inni mężowie nie tyle rozgłośni przez swoje dzieła, lecz których cierpienia i boleści

niemniejszego politowania zasługują. Ci to są właśnie, których długo byłoby wyliczać, a o każdym z nich księgi całe napisaćby można.

Jedni byli igrzyskiem wszelkich przygód i wypadków; cokolwiek przedsięwziąć się pokusili, zawsze na ich stronie zgubny wiatr powiéwał, zawsze duch złowrogi uczepiwszy się ich kroków, z piekielną roskoszą niweczył wszystkie ich zamysły, zdradzał nadzieje. Inni, przez osobliwszą fatalność, sami sobie stwarzali widma, które ich przerażały i boleści wydobywające z ich łona żałośne jęki. Większa część była ubogich opuszczonych, bez żadnego wsparcia. Wróżka zwodzicielka, która im, przy urodzeniu się rozdawała posagi wszelkich skarbów umysłu, odebrała im wnetże wszystkie dary fortuny. Tym się dostało wytrzymywać twarde zapasy na świecie, niektórzy je odprawili zwycięzko; wielu poupadało.

Wiadoma jest powszechnie śmierć francuzkiego poety Gilbert'a, a tkliwy dramat wystawił zgon Szattertona (*Chatterton*) an-

gielskiego poety. Otway dokonał żywota w ubóztwie, nędzy i nieszczęściu (1). Brał on nauki w uniwersytecie; nie mógł otrzymać żadnego uczonego stopnia, dla niedostatku pieniędzy na examen i dyplomat. Przybył do Londynu, został aktorem, ale to mu się nie powiodło. Pisał tragedye, które dobrze były od publiczności przyjęte; lecz jego talent poetycki, równie jak role aktorskie od nędzy go uratować nie mogły. W r. 1685, grano jego arcy-dzieło: *Wenecya oswobodzona*: wziętość jego nabyła wzrostu od razu; widział że go chwalono, szanowano, oklaskiwano; a w ciągu tegoż samego roku ścigali go wierzyciele, dręczyły potrzeby; umiérając z głodu, zmuszony był błagać miłosierdzia.

Collins (2) przybył także do Londynu w kwiecie młodości, z imaginacyą pełną zapału i urocznych marzeń o szczęściu, jakie każdy roi sobie, dopóki jeszcze przez ciężkie próby świata nie przejdzie. Ale był samotny

---

(1) Urodzony 1651, zmarły 1685.

(2) Ur. 1720, zm. 1756 r.

i bez wsparcia; daremnie się kusił walczyć przeciwko swojemu nieszczęśliwemu przeznaczeniu; potrzeby go przyciskały, niespokojność dręczyła; zachorował i umarł we trzydziestym szóstym roku życia. Thomson (1) był synem pastora szkockiego, który przy szczupłym dochodzie, miał dziesięcioro dzieci. Dostawszy się on do Londynu, przedał część piérwszą poematu swojego: *Pory roku*, ażeby miał za co sprawić sobie trzewiki. Goldsmith (2) przyjemny autor *Wikarego z Wakefieldu*, zabrał był ochotę do wędrówek. Wziął z sobą flecik: było to całe jego mienie; takim sposobem zwiedził Belgium, Szwajcaryą i część Francyi. Szedł zwykle przez dzień cały; wieczorem zatrzymywał się w wiosce, przed którymkolwiek domem; przegrywał na flecie, albo też śpiéwał: gospodarz zapraszał go do chaty, a młody poeta zasiadał wśród rodziny, zapominając swojego znużenia; tu albo bawił zgromadzenie opo-

---

(1) Urodz. 1700, zmar. 1748 r.

(2) Ur. 1729, zm. 1774 r.

wiadaniem przygód w podróży doznanych, albo wdziękiem swojego fletu do tańca im przewodniczył. Zwiedziwszy tak część Europy, powrócił do Anglii; ale wszelako był zawsze zarówno ubogim i nieznanym. Dla wyżywienia się pracował w *laboratorium* aptekarskiém. Pomału jednakże zaczął się dawać poznać publiczności; zrazu przez niektóre dowcipne artykuły umieszczane w dziennikach, następnie przez swoje wiérsze. Odznaczając się jako poeta, sam się na wartości dzieł swoich nie poznawał. Dnia jednego pewny księgarz dał mu sto funtów szterlingów za jego poemat: *Wioska Opuszczona.* Biedny Goldsmith, który w całém życiu swojém nigdy nie miał tyle pieniędzy, zabrał w uniesieniu radości tę summę, która w oczach jego fortunę stanowiła. W powrocie do domu napotyka jednego ze swoich przyjaciół, któremu szczęśliwe to zdarzenie opowiada. — To jest gruba summa za tak cieńką książeczkę, rzecze mu ów przyjaciel. — Prawda, odpowie Goldsmith, mnie samemu przychodziło na myśl, że to za wiele; biedny księgarz straci

niewątpliwie na tém. Po czém wraca się do wydawcy odnosząc mu sto funtów szterlingów. Milton mniéj był szczęśliwy: Samuel Simmons dał mu tylko pięć funtów szterlingów za jego *Raj utracony*, a Szekspir miał w teatrze cenę ustanowioną za swoje sztuki: płacono po sześć funtów szterlingów za każde jego arcy dzieło; sześć funtów szterlingów za *Romeo i Julią*, sześć funtów szterlingów *Othello!* — Dzisiaj drożéj się płaci mierny artykulik do dziennika!

Niemasz potrzeby rozwodzić się nad życiem Burns'a, tego przedziwnego poety, tego biédnego ziemianina; czytałli kto kiedykolwiek wiérsze jego bez zamiłowania ich autora, bez wzruszenia się litością myśląc o nim? Bürger'a śpiéwaka *Lenory*, nie lepsza była dola. Ojciec jego nie miał żadnéj zgoła fortuny; jego dziad, który jakie takie mienie posiadał, zajął się jego wychowaniem, i wysłał młodzieńca do Halli. Tam to imaginacya Bürger'a zaczęła się rozwijać; zrazu był on smutny, obojętny na wszystko, zamyślony; książki żadnego dlań powabu nie wystawiały; prze-

pędzał dni całe, błąkając się po wzgórzach i lasach; częstokroć ku wieczorowi zstępował na dolinę, siadywał pod drzewem, i przez wiele godzin tak pozostawał, ponurzony w swojém obłędném zasmuceniu i w myślach nieoznaczonych. W Halli dała mu się uczuć potrzeba nauki; przykładał się on z zapałem, i swojémi się postępami odznaczał; lecz jego niedoświadczenie na mnóztwo go ciężkich błędów naraziło, a dziad go opuścił. Bürger przybył do Getyngi bez żadnego sposobu; chciał odbywać daléj swoje nauki, a dla utrzymania się korrepetycye wykładał. Wtenczas to wszedł w związki z towarzystwem poetów młodych getyngskich, które usilnie nad reformą literatury niemieckiéj pracowało. Bürger wiele ze swoich ballad, obyczajem poczynających poetów, umieszczał w *Noworoczniku Muz*. Miały one wszystkie bardzo dobre przyjęcie; wziętość jego, jako poety i orędownictwo gorliwe jego przyjaciela Boje, zjednały mu miejsce sędziego, w jednym z okręgów blizkich Getyngi. Dziad jego widząc, iż Bürger zmierza do jakiegoś pewnego celu, prze-

baczył mu, i na zapłacenie długów posłał pieniędzy; lecz to co dla niego przeznaczył, wpadło w ręce nędznika, który pod pozorem przyjaźni oszukiwał Bürger'a, przywłaszczał sobie jego pieniądze; a biedny poeta cierpiał największy w świecie niedostatek, i najsroższą niespokojnością był dręczony. Zachciało mu się ożenić, a to małżeństwo stało się dla niego źrzódłem najdotkliwszych boleści. W tym dniu samym, kiedy uroczyście zawiérał związki, obaczył po raz piérwszy siostrę swojéj małżonki, i w téjże chwili poznał że ją kocha. Chciał się był z piérwszych węzłów wywikłać, ale nie miał dosyć odwagi; młoda dziewica pokochała go także, a oboje dla tego, że się kilku godzinami poźniéj z sobą spotkali, stracili na zawsze całą czystą roskosz i cały pokój życia. Miejsce zajmowane przez Bürger'a, szczupły mu nader dochód przynosiło; chciał on do tego przyłączyć korzyści z ziemiańskiéj dzierżawy; lecz ani on sam, ani jego żona, gospodarstwa rolniczego sprawować nie byli bynajmniéj w stanie. Przedsiębrał on prace trudne i ciężkie, wiele

czynił poświęceń, i na ostateczném zrujnowaniu się zakończył. Na dobitek nieszczęścia, ten sam który go tak srodze oszukał i okradł, zrobił nań oskarżające doniesienie, że źle obowiązków sędziego dopełnia. Bürger usprawiedliwił się z tego zarzutu sposobem świetnym; ale ta powtórna zdrada, ze strony człowieka, którego niegdyś swoim przyjacielem nazywał, ta sprawa wytoczona przed oblicze publiczności, gorzką boleścią duszę jego zatruły.

Po dziesięciu latach cierpliwości i szlachetnéj rezygnacyi, małżonka Bürger'a umarła. Wtenczas zaślubił on tę, któréj nigdy kochać nie przestał; opuścił swoje wiejskie ustronie, i przeniósł się do Getyngi. Tu przewodniczył wydawaniu *Noworocznika Muz*, dawał prywatne lekcye i pisywał niektóre artykuły. Życie to jego zdawało mu się więcéj spokojności i pogody obiecywać; ale ta która cały urok jego stanowiła, umarła wkrótce, a śmierć jéj utrudzonemu sercu Bürger'a ostatnie złudzenie odebrała, ostatni promyk nadziei pogasiła. Utracił on zupełnie serce; świat wy-

stawiał się oczom jego żałobnym całunem osłoniony; nauki żadnego nań wpływu nie wywiérały, a sama poezya nawet pociech mu swoich odmówiła. Żył przez wiele miesięcy w omdlałości stanie, aż póki nie odebrał pewnego razu listu ze Sztuttgardu, który mu, w jego smutkach niespodziewane sprawił roztargnienie. Była to młoda dziewica, która doń pisała, iż od dawna kocha go z zapałem, a dowiedziawszy się że jest teraz wolny, życzyła sobie zostać jego małżonką. List ten ułożony był nie bez dowcipu; a ci, którzy znali młodą jego autorkę, chwalili jéj urodę nadobną. Nieszczęśliwy Bürger pozbawiony tkliwych uczuć, osamotniony na świecie, mniemał że szczęście może się jeszcze do niego uśmiéchnąć. Kochał on przez całe swoje życie; mniemał przeto, że jeszcze będzie mógł kochać, i zaślubił tę, która do niego pisała. To romansowe małżeństwo wszystkie jego złudzenia omyliło. Po dwóch latach wziął rozłąkę; a odtąd żadna myśl pocieszająca, żadne marzenie miłośne, goryczy jego żalów nic osłodziło. Ostatnie lata jego życia, w sa-

motności głębokiéj, w gorzkim i nieprzerwanym smutku zeszły. Zamykał się przez całe miesiące w swojéj izbie, i z nikim się nie widywał. Kiedy się znajdował w potrzebie, zatrudniał się tłumaczeniami; lecz za te tłumaczenia licho mu płacono, a robić ich nie mógł wiele, ponieważ chorowity był i osłabiony. Im więcéj oglądał wzrastającą swoję nędzę, tym uporczywszym stawał się odludkiem. Rząd hannowerski dowiedziawszy się przypadkiem, w jak opłakanym stanie znajdował się poeta, którego wiérsze całe Niemcy powtarzały, przysłał mu zasiłek pieniężny. Wsparcie to za poźno już przybyło, ale przynajmniéj Bürger nie umarł z głodu.

Inni poeci sławniejsi jeszcze od Bürger'a, byli pastwą podobnychże niespokojności. Szyller, po napisaniu *Maryi Sztuart*, *Gwilhelma Tella*, *Wallensteina*, Szyller zachorował w Jenie. Lekarze zalecili mu spoczynek i uspokojenie; ależ dla utrzymania się przy życiu, potrzeba było pracować; dokończyć kursu historyi, pisać dramata i poezye liryczne. Książę Holsztyński i hrabia Schim-

melmann dowiedziawszy się iż do téj ostateczności został przyprowadzony, obowiązali się płacić mu pensyą przez trzy lata, pod warunkiem, iż przez ten przeciąg czasu zażyje swobody i odpoczynku, którego tak bardzo potrzebował.

Klopstock przebywał w Lipsku, młody, ubogi, zajmował skromną izdebkę ze swoim przyjacielem Schmidt'em, gdzie nad wielkim swoim poematem pracował. Trzy piérwsze pieśni jego Messyady, ukazały się na świat w pewnym dzienniku, a całe Niemcy z uniesieniem je przyjęły; lecz to powodzenie tak było dlań jałowe, iż Klopstock nigdyby daléj nie zdołał prowadzić swojego dzieła, gdyby go nie wsparł król duński.

Niektórzy poeci do swoich cierpień łączyli charakter wytrwałości, wraz z ewangeliczném zdaniem się na wolą bożą. Chrystyanizm uczyniłby ich świętymi: krytyka ani cnot ich, ani usiłowań ocenić nie umiała. Co za słodkie, i co za interesujące życie Kirke-White wystawuje! Jakie męztwo w jego walce, i jaka spokojność w boleści! Biedny poeta zaczął

swój zawód od uczeńnictwa przy fabryce pończoch. Całą nadzieją rodziców jego było umieszczenie go z czasem w magazynie; a cała ich pycha zasadzała się na oglądaniu jego, nie już fabrykantem, ale czeladnikiem w bogatym domu fabrycznym. Oddając się całkowicie swoim zatrudnieniom codziennym, Henryk wszelakoż swe powołanie poetyckie okazywał; probował czasami pisać wiérsze, a godziny odpoczynku na naukę poświęcał. Będąc zrazu rzemieślnikiem, stosownie do życzenia swoich rodziców, otrzymał nakoniec pozwolenie uczenia się prawnictwa. Dostawszy się do pewnego prawoznawcy, z najszkrupulatniejszą dokładnością obowiązki swoje wypełniał; odznaczył się gorliwością w pracy, oraz przykładaniem się pilném; ale skoro tylko dokonał swoich powinności, jak tylko znalazł dla siebie kilka minut swobody, natychmiast się do swoich książek przypodobanych, do swoich się ulubionych poetów zabiérał. Uczył on się po grecku, po łacinie, po włosku, po portugalsku; uczył się także fizyki, astronomii, chemii. Był obdarzony pojętnością ży-

wą i głęboką, która mu prędkie ogarnienie najtrudniejszych zagadnień ułatwiała. Następnie pracował bez przerwy, na przechadzkach, przy braniu posiłku, podczas nocy: pracował zaś z taką pilnością i zapałem, że matka jego była częstokroć przymuszona wejść w nocy do jego izby, i lampę tam zagasić. Pragnął on usilnie zdobydź się na możność wejścia do uniwersytetu, i w tym zamiarze ogłosił tom swoich poezyj, w nadziei otrzymania ze subskrypcyi zasiłku, przy którym zdołałby się, przynajmniéj przez rok jeden w *Cambridge* utrzymać; ale te jego nadzieje omylone zostały. Matka jego postanowiła wtenczas nową z siebie uczynić ofiarę, i wypłacić mu szczupłą pensyjkę; brat jego z podobnąż oświadczył się pomocą, a jeden z jego przyjaciół summę potrzebną uzupełnił.

Zaledwie przybył do Cambridge, aż w tém uniwersytet ogłosił do konkursu miejsce ucznia pensyonowanego (*scholarship*). Henryk postanowił o nie się ubiegać. Nigdy on nie odbywał kursu gymnazyalnego; nigdy nie

miał żadnego professora, żadnych lekcyj, żadnego przewodnika: to czego się nauczył, winien był własnemu przykładaniu się i usilnéj a pracowitéj wytrwałości; współubiegający się zaś z nim, po większéj części, byli to odznaczający się młodzieńcy, którzy odprawili zawód swoich nauk pod mistrzami biegłymi, tudzież pod kierunkiem instrukcyi całkowicie szkolnéj. Ale nasz Henryk wiedział co to jest wola człowieka. Zapisał się za kandydata na miejsce wakujące, i do zdania się examinów gotował. Trzykroć żabierał się do téj pracy, trzykroć mu ją znużenie przerwało; trzykroć niemoc konsumpcyjna, która miała go wtrącić do grobu, przymusiła go do złożenia książek, i do zaprzestania bezsennych nocy; ale wszystkie on przeszkody przezwyciężył: zabrał się wnet do pracy z nowym zapałem. Kiedy dzień konkursu nadszedł, wytrzymał examen świetnie, i został uznany jednomyślnie, piérwszym uczniem swojego roku (*the first man of his year*). Było to, zaiste, powodzenie zadziwiające, bo je ceną własnego życia okupił. Dusza jego zachowała była jesz-

cze całą swą dzielność, ale siły fizyczne ostatecznie zniszczone zostały: od téj chwili słabiał ciągle i gasnął powoli. W ostatnich dniach życia, nie łudził się bynajmniéj względem swojego istotnego położenia; pisząc do swoich przyjaciół, wystawiał im swoję słabość i swoje udręczenia; lecz w odezwach do matki, starał się o wszystkich swoich słabościach zapominać. Lękał się niespokojności do serca jéj zanosić, zasmucać ją, uśmiechał się przeto pisząc, biédak schorzały! Wystawiał siebie ochoczym, krzepkim i pełnym nadziei, opowiadając z dobroduszną wesołością najmniejsze swoje powodzenia, troskliwie zaś tając wybladłość swojego oblicza i wycieńczenie ciała. Zostawił kilka tkliwych elegij, których nikt bez rozrzewnienia czytać nie będzie; ale, wyznaję, że w zbiorze dzieł jego nic mię bardziéj nie wzruszyło, jak jego listy pełne wyrazu tkliwości synowskiéj, z udawaną radością i bogobojném kłamstwem.

Tak umarł Kirke-White, tak umarł Hoelty poeta niemiecki. Miał on toż samo uczucie dla swojéj rodziny, tenże sam zapał

do nauk. Kiedy jeszcze był przy swoim ojcu, kupował sobie potajemnie oliwę, i sporządzał sam lampę, przy którejby mógł w nocy pracować. Ojciec odkrył był to dowcipne przyporządzenie, i jemu to zabrał. Poźniéj Hoelty uciekł się do innego sposobu: kładąc się wieczorem do łóżka, przywiązywał do ramienia kamień przymocowany do sznura, i umieszczał na brzegu stolika; najmniejsze poruszenie strącało go na podłogę, na którą nie mógł upaśdź, zeby nierozbudził spiącego. W piérwszéj swojéj młodości nauczył on się po łacinie, po grecku, po hebrajsku, po francuzku i t. d. Wszedł potém do uniwersytetu getyngskiego, i dla utrzymania się dawał lekcye języków. Na nieszczęście, lekcye te były dla niego bezowocne: uczył on darmo, po włosku i po angielsku niektórych swoich przyjaciół; uczył z miłosierdzia niektórych studentów ubogich, a nie miał dość serca żeby się upominać u tych zapłaty, którzy mu ją winni byli. Tym sposobem dawał przeszło pięć lekcyj na dzień, a częstokroć naglące potrzeby mu dokuczały; lecz w jakim się bądź kolwiek nie-

dostatku znajdował, wolał zawsze raczéj cierpieć, aniżeli najlżejszéj ofiary po swoim ojcu wymagać. Był to wreszcie człowiek wielką energią i rzadką cierpliwością obdarzony. „Nigdy, powiada Voss, w największych udręczeniach, w żadnéj boleści, nie widziałem łez w jego oczach. Pewnego razu wszedł do mojéj izby z czołem zachmurzoném: — Jak się miewasz Hoelty? Dosyć dobrze; ale mój ojciec umarł. Co powiedziawszy nieszczęśliwy zalał się łzami". Zbytek go pracy zabił: dokonał życia we dwudziestym ósmym roku.

Tak umarł Bellamy, poeta hollenderski, syn piekarza i sam piekarz. Wysłany do uniwersytetu przez pewne osoby z Flessyngi, które talent jego odgadnąć umiały, nie umiał ani obrachować sił swoich, ani też zapału do pracy powściągać. We dwudziestym roku życia swojego rozpoczął zawód poetycki, we trzydziestym żyć już przestał. Wiele z jego poezyj popularnémi w Hollandyi zostało. W ostatniéj rewolucyi niderlandzkiéj, żołnierze powtarzali tę jego odę wrzącą gniewem,

to przeklęctwo poety przeciwko zdrajcóm i podłym przeniewiercóm (1):

„Rodzicielka twoja wydała cię na świat w pośród czarnéj nocnéj pomroki; duch piekielny nie odstępował twoich urodzin; trzykroć puszczyk zahuczał z przerażeniem. Ocean ryknął nawałnicą, a łoskot jéj burzliwy zmieszał harmonią śpiewu istot niebieskich. Matka twoja postrzega cię i natychmiast kona. Ojciec twój przybliża się ze drżeniem, przywalony boleścią, a znagła podobny głos do grzmotu w jego się domowstwie rozlega:

„Oddal się! opuść to dziécię, to wyklęte stworzenie! W dniu zagniewania swojego niebiosa mu dały życie na nieszczęście ludzi. Najsroższy szatan wymknie się z przepaści piekielnéj, i służyć mu będzie za przewodnika na ziemi.... Stanie się on przeniewiercą. Nic nigdy podłéj chciwości jego nie nasyci: im więcéj nagromadzi skarbów, tym łakomiéj skupiać je zapragnie.... Gdziekolwiek niewinna

(1) 'T was nacht toen u uw moeder baarde.

krew najobficiéj popłynie, tam on największą swoję roskosz znajdzie. W duszy jego zamieszka zdradziecka chytrość, a kłamstwo uwijać się będzie po ustach jego. Nieczuły na wszystkie pogróżki, z urągowiskiem na wszelki wzrok wzgardliwy odpowié: — Jeszczem pełen siły!... Albowiem nędznik ten wydany jest na chłostę ludzkości.

„O potworo! o przeklęstwo! Bogdayby pomsta boża, która cię do czasu oszczędza, piorunem ciebie ugodziła! Ale nie; lepiéj jest żebyś żył dla pojęcia całéj szkarady czarnych zbrodni twoich: będzie to zemsta straszliwsza od piorunu. Dusza twoja kiedyś wejdzie w siebie, a w swoich srogich udręczeniach nauczy się bóztwo poznawać!... W ostatnim dniu świata zbrodnie twoje, zdrady, przeniewierstwa i okrucieństwa, na grobie twoim czytane będą!"

W téj *martyrologii* poetów zawiedzionych w swoich nadziejach, ściganych od losu, najszczęśliwszymi, podobno, byli ci, których śmierć rychła sprzątnęła. Wszelako, nic býłoż czego żałować, umierając przed czasem,

tym, którzy upuszczali z rąk omdlewających lirę, nie doświadczywszy tonów wszystkich strón na niéj naciągnionych, tym, którzy zanucili pienie łabędzie, przed poznaniem wszystkich uroków piérwszéj miłości, oraz kwiatów piérwszéj swéj wiosny? Kiedy Novalis umiérał, marzył sobie o dokończeniu swojego *Henryka z Ofterdingen* i swoich hymnów do nocy. Kiedy Ernest Schulze usłyszał po raz ostatni dźwięk fortepianu swojego brata, w téj chwili przyniesiono mu koronę poetycką, którą w Lipsku otrzymał: kiedy Teodor Koerner od rany odebranéj na polu chwały dogorywał, słyszał w około śpiewane ody swoje patryotyczne: kiedy Millevoye, w młodości swojéj schorzały, za każdym szmerem liści jesiennych, mniemał słyszeć złowrogi dla siebie wyrok, zaledwo wtenczas z wieku słodkich omamień i złudzeń wychodził: kiedy Andrzéj Chenier wielki poeta francuzki legł pod toporem rewolucyjnym, ileż to pięknych jeszcze wiérszy zabrał z sobą do grobu!

Jeżeli ta muzyka niebieska nagle przerwa-

na, jeżeli to życie gwałtownie zniweczone, nie wzbudza jeszcze dosyć współ-uczucia, owoż poeci na inne wystawieni udręczenia; prześladowani przez zawiść, więzieni. Cnotliwy Pons de Léon, który tyle śpiéwał hymnów pobożnych, pojmany został z rozkazu inkwizycyjnego trybunału i wtrącony do tarasu. Nieprzyjaciele jego nie zapomnieli o niczém, przez coby brzemie dojmujących mu cierpień obciążyć bardziéj można było; ale jego dusza okazała się wyższą nad wszystkie niesprawiedliwości, żadna chmura potwarcza nie mogła zaćmić jéj pogody, żadne prześladowanie spokojności jéj zakłócić nie zdołało. W nieszczęściach, równie jak w blasku i świetności swych powodzeń, zawsze jednostajną godność zachował.

„Tu zawiść i kłamstwo trzymały mię uwięzionym. Błogie życie mędrca, który się uchyla na ustronie od tego świata złośliwego; który przestając na swoim oszczędnym stole, na swojém pomieszkaniu skromném, przepędza dni swoje samotne na roskoszach wiejskich, pokłada ufność jedynie w Bogu,

i pędzi bieg swojego życia nie zazdroszcząc nikomu, ani wzbudzając zazdrości (1)".

Po swojém długiém więzieniu, Pons de Léon powrócił do Salamanki, zająć swoję katedrę teologii. Tłumy ściskają się i tłoczą naokoło niego, żeby najpiérwszych słów jego dosłyszeć; on zaś lekcyą od słów zwyczajnych rozpoczyna: „Mówiliśmy dnia wczorajszego, i t. d."

Inny poeta hiszpański, Melendez, oglądał dom swój przez żołnierzy obcych zrabowany; został wygnańcem przez wyrok swojego rządu. Opuszcza ze łzami ziemię hiszpańską. Z wyżyn pirenejskich rzuca jeszcze ostatnie wejrzenia na swój kraj rodzinny, i z gorz-

---

(1) *Aqui la envidia y la mentira*
Me tu vieron encerrado;
Dichoso el humilde estado
Del sabio que se retira
Do aqueste mando malvado,
Y con pobre mese y casa
En el campo deleytoso
Con solo Dios se compasa,
Y à solas su vida pasa
Ni envidiado ni envidioso.

kiém zasmuceniem woła: —„Żegnam cię mój ulubiony kraju; żegnam mój domku miły; już was więcéj oglądać nie będę!” Jakoż i nie oglądał w istocie. Przepędził na wygnaniu cztéry długie lata, przez które zalewał się gorzkiémi łzami. Umarł w ubóztwie i zapomnieniu. Szczodrobliwa wspaniałomyślność jednego ze współziomków (1) Melandez'a grobowiec mu wzniosła.

Henryk Kleist, autor *Katarzyny z Heilbronnu*, najpiękniejszego z dramatów dzisiejszych Niemiec, wpadł był w jakąś niedocieczoną niespokojność, wynikającą z dolegliwości tajemniczéj, przeciwko któréj daremnie szukał lekarstwa. Ani świat, ani nauki, ani podróże rozerwać go nie zdołały. Opuszcza Niemcy w smutku, w smutku do nich powraca. Przebiega Francyą, Szwajcaryą, Włochy; a widok miast, okolic wiejskich, rzadkich pomników, posępnym jego myślom, chwilowe tylko ledwo roztargnienie sprawuje. Podczas niemieckich wojen, bitwy przegry-

(1) Książęcia de Ferias. Melandez pogrzebiony został w Monfevrier (Herault).

wane przez Prusaków podniecają jego patryotyzm, zwiększając cierpienia. Odzywa się głośno ze swoją nienawiścią ku żołdactwu obcemu. Pojmany zostaje i osadzony w twierdzy *Joux*. Powraca do Berlina z duszą znużoną. Znajduje młodą białogłowę, równie chorowitego, jak on, z natury temperamentu. Dnia pewnego wyprowadza ją pod lasek nad brzeg jeziora, gdzie razem się z nią zabija.

Znajduje się w dziejach poezyi angielskiéj żywot poety do nadzwyczajnego romansu nader podobny. Jest to żywot Savage'a. Johnson go ze wszystkiémi szczegółami opowiedział. My tylko w krótkości rzecz tę wyłożymy. Savage był synem nieprawym hrabinéj Macklesfield i hrabiego Rivers'a. Od chwili przyjścia jego na świat, matka nienawiść mu nieubłaganą poprzysięgła. Była to złowroga mara, która się kroków jego uczepiła; zły duch, nieprzyjaciel pokoju zawistny jego powodzenia. Skoro się tylko urodził, oddaliła go ze swoich oczu, poruczyła pieczy jednéj ubogiéj białogłowy, zobowiązawszy ją, ażeby to dziécię za własne hodowała, nie

odkrywając mu prawdziwego imienia jego familii. Po niejakim czasie hrabia Rivers zapadł był w ciężką chorobę. A kiedy się czuł już blizkim zgonu, zapragnął widzieć swojego syna; chciał mu bowiem część swojéj fortuny odkazać. Hrabina Macklesfield kilkakroć zbyła niczém jego w téj mierze zapytania; lecz Rivers zawsze nastawał: zakończyła tedy oświadczeniem, iż to dziécię już umarło; wtenczas hrabia rozpisał na rozmaite osoby 6,000 funtów szterlingów, które dla Savage'a przeznaczał. Wszelakoż matka jego lękała się, ażeby odkryty nie został, i chciała go do Ameryki wyprawić. Zamiar ten nie przyszedł do skutku. Wtedy kazała go na naukę oddadź do krawca. Gdy to się działo, mamka jego umiéra. Savage odmyka szafę, przegląda zmarłéj pozostałe papiéry, a między niémi znajduje listy hrabinéj, które mu tajemnicę urodzenia jego wyświécają. Był to dla niego promyk pociechy świetnéj, ale zwodniczéj. Napisał wnet do swojéj matki; nic mu nie odpowiedziała. Poszedł się z nią widzieć; ale drzwi przed sobą znalazł zamknięte.

Zjawia się raz w poranku pod jéj mieszkanie, błąka się wieczorem pod jéj oknami czatując na chwilę kiedy będzie wyjeżdżała z domu, ażeby ją obaczyć; ale na widok jego, głos wyniosły rozkazuje zasłonić okna pajazdu, a konie się galopem oddalają. Razu jednego wszakże dostał się do jéj pałacu: znajduje apartamenta otworem; wchodzi do izby w któréj była matka, rzuca jéj się do nóg, błaga ażeby go uznała za syna, i jak własne kochała dziécię. Lecz ona wzywa pomocy służalców, rozkazując im wyrzucić tego nędznika, który jakoby chciał ją zabić. Nie dosyć miała na tém, że się go niegodnie wyparła, wydziedziczyła, wygnała precz z oczu; chciała go jeszcze życia pozbawić. Savage pokłócił się w publicznym domu, i zabił swojego przeciwnika. Powołany do sądu, wyrokiem jego na śmierć skazany został. Podał prośbę o ułaskawienie do królowéj, którą wielu znakomitych i wpływ mających panów poparło, a i same nawet okoliczności tego bez namysłu morderstwa za nim przemawiały. Jedna tylko osoba usiłowała pozbawić go łaski królowéj;

a tą była jego własna matka. Lecz tą razą nienawiść jéj została bez skutku; Savage był ułaskawiony. Wychodząc z więzienia miał jednego tylko gwineja. Spotyka na ulicy białogłowę, która przed sądem najsroższe jemu zadawała szkarady. Była blada, wychudła, okryta łachmanami. Savage ostatniego jéj oddał gwineja. Owoż rysy poety!

Z tém wszystkiém, pozostał on opuszczony, bez wsparcia, bez fortuny. Niektóre osoby znające los jego, napróżno starały się pobudzić do czułości hrabiną; zawsze ona jemu wszelkiego wsparcia odmawiała. Mylę się: razu jednego przyrzekła dadź mu 190 funtów szterlingów. Wdała się była wtenczas właśnie w pewną spekulacyą handlową, z któréj wielkich oczekiwała zysków. Rachuby te ją omyliły, a Savage nic nie dostał. Aktorka mistress Oldfield, miała nad nim politowanie, i zapewniła mu dochodu rocznego 50 funt. szterl., które wypłacała regularnie.

Ale ta szczupła summa na utrzymanie się jego nie wystarczała. Pisał wiérsze, panflety, dramata, rozprawy i t. d. W czasie kiedy

układał swoję najpiérwszą tragedyą, tak był ubogi, że nie mógł nająć sobie pomieszkania. Chodził po ulicach pracując nad swojém dziełem; a kiedy ułożył kilka wiérszy, w piérwszym sklepie prosił kupca o pióro, i na świstkach papiéru spisywał to, co w głowie ułożył. Tragedya jego z pewném powodzeniem była przyjęta. W tymże samym czasie ogłosił tom pieśni rozmaitych, które bardziéj go jeszcze przed publicznością zaleciły. W książce téj opowiedział całą historyą swojego życia, co wielkie zrobiwszy wrażenie, litosć na stronę jego pobudziło. Wyższe towarzystwo jęło się nim interesować, a pan dostatni lord Tyrconel, kazał mu wyporządzić apartament w swoim pałacu, i raz na zawsze do stołu z sobą zaprosił. Była to piękna doba życia Savage'a. Wolen wszelkich niepokojów, ochoczy, wesoły, ożywiony, ukazał się na salonach londyńskich, i ściągnął tam na siebie uwagę przez udatność swojego obejścia się, i zwrot żywy dowcipu. Młode kobiéty rozprawiały z rozczuleniem o jego niedoli; młodzi lordowie naśladowali kroj jego sukni i barwy wstą-

żek. Dzięki szczodrobliwości hojnego i wspaniałego lorda Tyrconnel'a, Savage żył po pańsku, wszędzie pożądany i przyjmowany z uczciwością. Słowem, przez kilka miesięcy prowadził on życie do zazdrości, będąc w największéj u wszystkich modzie.

Dnia pewnego cały ten urok fortuny pierzchnął, jak senne marzenie. Charakter jego był wyniosły i drażliwy: po żwawéj sprzeczce z lordem Tyrconnel'em, opuścił pobyt w jego domu, uchylił się od świata wielkiego, który go tak uprzejmie był przyjął, i odpadł na nowo w samotne opuszczenie z nędzą. Królowa wypłacała mu 50 funt. szt. rocznie, ale wkrótce umarła. Mistress Oldfield umarła także, a to była ostatnia jego ucieczka. Spodziewał się on jeszcze dostać miejsce od lorda Walpole'a, lecz tego nie otrzymał. Otworzył subskrypcyą na ogłoszenie dzieł swoich drukiem, ale w miarę tego jak dostawał jednego albo dwa funt. szterl., opędzał niémi swoje potrzeby, a dzieła jak się nie drukowały tak nie drukowały. Przyjaciele skłonili go, aby opuścił Londyn, i uchylił się na

wieś, dla dokńczenia tam swoobodnie tragedyi od dawna rozpoczętéj. Złożyli się nawet wspólnie na płacenie mu rocznéj pensyi, a Savage wyjechał, przyrzekając iśdź za ich radą, i z ważném dziełem powrócić. Ale zaledwo oddalił się od ruchu wielkiego grodu, zaraz się począł nudzić. Opuścił zatém swoję wiejską uchronę, udał się do Bristolu, narobił tam długów, za które do więzienia wtrącony został. Był już osłabiony cierpieniami, ciągłą niespokojnością umysłu; przez co zapadł w chorobę i umarł. Żaden z przyjaciół jego nie podał mu tam ręki. Żaden z tych, którzy go znali niegdyś na wielkim świecie, nie rozerwał go słowem pocieszenia. Umarł w nędzy i opuszczeniu; posługacz więzienia zamknął mu oczy, a dozorca swoim go kosztem kazał pogrzebać.

Günther Szlązak, był Savage'em niemieckim. Poeta ten miał talent prawdziwy. W pośrzód skażonego smaku współczesnych sobie pisarzów; w pośrzód szkoły ckliwéj i nadętéj próżnością Loheinstein'ów i Hofmannwaldau'ów, odznaczył on się przez

czystość swojego stylu, i przez charakter oryginalny niektórych dzieł swoich. Nie masz wątpliwości, że, gdyby mu się dostało w podział życie spokojniejsze, dzielnieby się do postępów literatury niemieckiéj przyczynił. Niektóre błędy młodego wieku, rozgniewanie ojca, troska zawiedzionéj i nieszczęśliwéj miłości, rzuciły go w burzliwy odmęt towarzystwa studentów niebacznych i płochych, w którém chciał zagłuszyć swoje cierpienia, i tak się zgubił. Porzucił uniwersytet i puścił się na wędrówkę od miasta do miasta, śpiéwając swoję *Lenorę*, powaby poezyi, a niekiedy troski swojego serca. Błąkał się on przez czas długi w górach szląskich bez przytułku i sposobu do życia; ale wszystkie zamożniejsze domy stały dla niego otworem. Odwiedzał je, bawił się przez dni kilka, i wiérszami wypłacał się za oświadczoną sobie gościnność. Kilka razy wszakże czynił postanowienie odmiany takiego trybu życia; układał sobie prowadzić się rozsądnie i pracowicie. Wielokrotnie pisywał do swojego ojca, prosząc go o przebaczenie; lecz ojciec nie dawał się prze-

błagać. Günter wreszcie pokusił się o przezwyciężenie siebie przeważne, i pozbycie się raz na zawsze wałęsania się nałogu, zapisując się na nowo do grona uczniów uniwersytetu. Prawdziwi jego przyjaciele starali się ugruntować go w tém zbawienném postanowieniu, i dali mu nawet wsparcie pieniężne, o którémby mógł się udadź do Jény. Lecz przybywszy tam, daremnie się kusił zasiąśdź do pracy, wpadł w chorobę i umarł we dwudziestym ósmym roku życia.

Schubart był jeszcze nieszczęśliwszym od poprzedzającego. Posiadał on zarówno poety i muzyka talenta. Jeszcze w dziesiątym roku życia układał pieśni kościelne, w szesnastym napisał kilka ballad; w siedmnastym miejsce organisty w Norymberdze otrzymał. Prowadził tam życie wszelkiego rodzaju roskoszami się napawając. Wkrótce byt podobny stawa mu się uciążliwym. Chce się uczyć; udaje się do uniwersytetu w Jéna. Tam podobnaż z towarzyszami ochota, podobnaż niepamięć na nauki. Zaciąga długi, dostaje się do więzienia. Zlitował się ktoś przecię nad

jego młodością, i wyswobodził z turmy, płacąc komu należało.

Schubart powraca do ojca, który zrazu gniewliwie go i z oburzeniem się przyjmuje; lecz kiedy student z Jény wykonał przed nim kawałek swéj muzyki, i własnéj kompozycyi kazanie wydeklamował, stary Schubart, który był nauczycielem szkoły w Limburgu, wpadł w zachwycenie przed takim geniuszem; syna marnotrawnego z radośnémi łzami uściskał. Po niejakim czasie od swojego powrotu, Daniel Schubart otrzymał miejsce nauczyciela u pewnéj rodziny w Koenigsbronn. Był to uczciwy obowiązek, któryby dla niego mógł wyniśdź na pożytek; ale nieopatrzny poeta wypełniać go nie umiał. Co niedziela statecznie, a czasami nawet w ciągu tygodnia, składał swoje berło bakałarskie, udając się do poblizkich miasteczek. Jeżeli zapotrzebowano kaznodziei, był on kaznodzieją, jeżeli muzyka, muzykiem. Obchodził tam wesoło swój wielki dzień świąteczny, a jak można najpóźniéj wracał się do domu. Ojciec jego ucznia wymawiał mu to nieraz; a Schubart, którego

nauczycielskie powołanie zaczęło już było uciemiężać, złożył tę dostojność z ochotą.

Został potém bakałarzem udzielnéj szkółki, organistą, pojął żonę, i pędził przez czas niejaki życie familijne prawdziwie do zbudowania. Na nieszczęście, pewnego razu udaje się do Ludwigsburga; wchodzi tam wieczorem do teatru, i nagle zapala się namiętnie do opery, do dramatu, do roli aktorskiéj. Czyni zabiegi, i otrzymuje miejsce pod-dyrektora w teatrze ludwigsburgskim; naprożno jego małżonka, jego krewni, jego przyjaciele, usiłują go odstręczyć od tego nowego zawodu; nie słucha bynajmniéj ich przełożeń; zostaje czém sobie ułożył.

Był on przez kilka miesięcy ważną figurą w Ludwigsburgu. Wydawał koncerta i zebrał nie mało pieniędzy. Wielcy panowie znajdowali się na tych wieczorach, i każdy z nich uwielbiał zacność jego charakteru oraz talent artysty. Ale dowcip jego uszczypliwy i satyryczny oburzył przeciwko niemu wielu nieprzyjaciół; prócz tego nie bardzo się on miał na straży przeciwko niektórym pokusóm.

Pewna nieszczęśliwa dziewczyna popsuła mu wziętość, i wtrąciła do więzienia.

Wyszedł on ztamtąd z pokorą i skruchą, udał się do swojéj żony i rzekł: „Możeszże ty jeszcze mi przebaczyć i kochać zmiennika? Na przyszłość przyrzekam bydź rozważniejszym, i nigdy ciebie nie opuszczać". Pełna słodyczy jego małżonka uściskała go ze łzami przysięgając, iż zapomina o wszystkiém.

Schubart jął się do pracy; ale niestety! mądrość nie długo mu towarzyszyła. Napisał satyrę przeciwko możnym panóm tego kraju, w którym przebywał, i zmuszony był do ucieczki. Wędruje sam nie wiedząc dokąd się ma udadź, i nie mając dwóch złotych w kieszeni. O kilka mil od Heidelbergu, zostało mu cztery *kreuzery*. Napotyka biédnego żołnierza, i te jemu oddaje. Zrywa się gwałtowna nawałnica. Następuje noc ciemna i burzliwa. Schubart nie wié gdzie się schronić. Postrzega nakoniec w pewnéj odległości od gościńca zamek. Udaje się tam, wchodzi prosto do salonu, postrzega *fortepiano*, bierze krzesełko i zasiada do wykonania jednego z najpiękniej-

szych miejsc muzyki przez siebie ułożonéj. Każdy pogląda na niego z podziwieniem. Lecz kiedy pograł przez czas niejaki, pani domu dała oklask jego talentowi; ale kiedy przepędził z pół godziny na rozmowie z tą rodziną, wszyscy go pokochali. Nazajutrz właściciel zamku udał się z nim do Heidelberga, i zalecił go swoim przyjaciołóm. Ztamtąd pojechał on do Mannheimu, gdzie wszedł w zażyłość z posłem bawarskim, który go zabrał z sobą do Munichu. Ze sławą artysty, z lubém znajdowaniem się w towarzystwie, przy dzielnéj pomocy nowego swojego przyjaciela, znalazł on w stolicy bawarskiéj najpochlebniejsze dla siebie przyjęcie; od niego samego tylko zależało zajęcie jakiego dostojnego miejsca. Ale chciano, żeby Schubart odmienił religią; chciano żeby został katolikiem, na co się on nie zgodził. Żeby położyć kres wszystkim w téj mierze naleganióm, przeniósł się do Augsburga, i tam zaczął wydawać pismo periodyczne, pod tytułem *Kronika Niemiecka.*

Kronika ta wielką otrzymała wziętość. Schubart pisał ją leniwie, paląc sobie w ka-

wiarni fajkę, i wychylając swoję kwartę piwa; ale napełnił jéj kartki całym swoim dowcipem żywym, i całą, na jaką się tylko mógł zdobydź, erudycyą, tak, że w przeciągu kilku miesięcy liczba jego prenumeratorów urosła do tego stopnia, iż przyszedł do bogactwa i znaczenia.

Szczęśliwy Schubart! gdyby się umiał trzymać téj ostatniéj kotwicy ocalenia, którą mu fortuna zachowała, gdyby chciał z dziennikarskiego powołania rostropnie się uiszczać i przyszłość swojéj kroniki tym sposobem zapewnić! Ale nie. Nie był się jeszcze zamknął okres jego niepowodzeń. Znalazł on już był spokojność i swobodę od trosk, kiedy mu przyszła myśl szalona zadarć się z duchowieństwem i Jezuitami. Księża i Jezuici śpiknęli się na jego zgubę. Dopilnowali pory, w któréj potrafili uzyskać rozkaz uwięzienia jego. Lecz kiedy sierżanci przyszli doń spełnić dane sobie polecenie, odparci zostali przez protestantów, którzy poprzysięgli bronić Schubart'a do upadłego. Dziękując im z całego serca, za to ich dla siebie poświęcenie się,

Schubart przekonał się, iż ze swojéj strony postąpi rostropnie opuszczając tak niebezpieczne stanowisko. Udał się przeto do Ulmu. Tam rozpoczął na nowo swój żywot dziennikarski, szyderczy, wesoły, uszczypliwy, i pomnożył liczbę swoich wrogów. Razu pewnego wydrukował jakąś wieść polityczną fałszywie. Wieść ta nie mogła mieć ważnych następstw, a Schubart ją ogłosił bez żadnego złego zamysłu, prosto tylko na wiarę swojego korrespondenta. Jego nieprzyjaciele chwycili się ukwapliwie tego pozoru, ażeby go potępić i zgubić. Osadzony został w twierdzy Aspergu, i tam przez lat dziesięć zostawał. Samotny, pozbawiony wszelkich stosunków z ludźmi, bez instrumentów muzycznych i książek, znajdował dni tak długiémi, tak się wlokącémi opieszale, iż dla skrócenia nudnego czasu, rachował szczeliny w swojém więzieniu i nitki swego siennika. Potém probował pisać końcem noża, szczypcami, ale strażnik zawsze odkrywał te jego nowe sposoby skrócenia czasu, i zawsze użyciu ich czynił przeszkody. Po kilku latach tak ostréj niewoli,

przeniesiony został do części twierdzy przestronniejszéj i lepiéj przewietrzonéj. Znajdowała się obok niego izba zajęta przez innego więźnia. Dwaj nieszczęśliwi nie mający żadnéj kommunikacyi zewnętrznéj, a czując się tak blizko jeden drugiego, bez możności przemówienia słowa do siebie nawzajem, skończyli wreszcie, przez odkrycie na powierzchni podłogi, pod piecem dziury wychodzącéj na obie sąsiednie izby. Dziurę takową powiększyli oni dostatecznie, ażeby mogli widzieć jeden drugiego; a tak przysiadłszy skurczeni na ziemi, przepędzali długie godziny, rozmawiając z sobą i opowiadając swoje nieszczęścia. Schubart, któremu wzbroniono wszelkiéj sposobności pisania, dyktował swoje pamiętniki sąsiadowi, który je spisywał.

Nakoniec, po dziesięcioletnich cierpieniach, Schubart wyszedł z niewoli. Powrócił do swojéj żony, która przez ciąg cały jego uwięzienia nie przestawała wdawać się i błagać za nim. Jął znowu wydawać swoję kronikę; ale był już znużony, chory, i w krótkim czasie żyć przestał.

Taka była dola niektórych poetów zeszłego czasu. Ale poeci zeszłego czasu szczęśliwsi byli od dzisiejszych: nie mieli oni do walczenia z zimną obojętnością współczesnego sobie pokolenia. Kiedy śpiéwali, wiérsze ich powtarazno do okoła; dźwięki ich lutni rozlegały się daleko. Bardowie, skaldy, minnensingery, trubadurowie i t. p., składali korporacye wyłączne; mieli imie i miejsce właściwe sobie w społeczności. Poeci za dni naszych żyją samotni i rozproszeni. Nie ma już skaldów na północy; nie ma króla Réné w Prowancyi, ani śpiéwaka w Wartburgu. Poeta jest bez potęgi i bez echa na świecie. Możni przestali nim się opiekować, a krytyka, która go bierze niekiedy pod swoję opiekę, radzi, żeby się obrócił raczéj do pisania prozą.

(X. Marmier. — *Revue de Paris.*)

Do tego spisu poetów nieszczęśliwych, możnaby przydadź jeszcze nie jedno imie polskie, z którém się wyobrażenie poetyckiego talentu i niedoli jednoczy: Klonowicz umie-

rający w szpitalu, Karpiński dni przeznaczone zdobyciu wieńca niezwiędłéj chwały, marnujący na ciężkich robotach rolniczych, Węgierski w kwiecie wieku, na obcéj ziemi, żegnający się z nadziejami szczęśliwego życia, Kniaźnin gasnący z obłąkanym rozumem, i t. d.

Ale żaden z nieszczęśliwych poetów polskich, zdaniem naszém, nie wystawia, przy nieocenionych talentach, opłakańszego przykładu pokrzywdzenia przez los i ludzi, oraz obojętnego zapomnienia za życia i po zgonie, jak Franciszek Zabłocki. Żywot jego upłynął, wśród najdotkliwszych (bo ukrywanych) cierpień, a po śmierci żaden hołd publiczny nie uczcił jego pamięci. Żaden z naszych literackich krytyków nie zadał sobie pracy nauczenia się i ocenienia dzieł jego.

Przed kilką laty, mając zręczność słyszenia niektórych anegdot o Zabłockim z czasów, kiedy w Puławach i Warszawie przemieszkiwał, trafiliśmy na osobę poufale zażyłą z dawnym przyjacielem Franciszka Zabłockiego, za któréj pośrednictwem otrzymaliśmy

następne dosyć interessujące o nim szczegóły, którym właściwe nader miejsce tu znajdujemy.

Wyjątek z listu P. Grümberg'a *do P. Jana* Richter'a:

„.... Na punkta przysłane mi przez ciebie szanowny Panie Janie! podaję tyle wiadomości, ile pamięć moja skołatana, nieszczęśliwémi przez przeciąg prawie lat dwudziestu okolicznościami i kłopotami, jeszcze teraz udzielić może.

„W jakim się roku? gdzie? i z jakich rodziców? urodził Franciszek Zabłocki wiedzieć dostatecznie nie mogę (1); to tylko wiém, że miał rodzonego brata konsulem w Chersonie, przez czas długi, za panowania Stanisława Augusta, króla: musiał więc urodzić się ze

(1) Według krótkiéj *Wiadomości o życiu i pismach Franciszka Zabłockiego*, umieszczonéj na czele szóstego tomu pism tego poety, wydanych przez F. S. Dmochowskiego, miał się on urodzić w 1750 r. Stycznia d. 2. Edukacyą zaś odbywał w Międzyrzeczu na Wołyniu w szkołach zgromadzenia KKs. Pijarów. Wielkie jest zatém podobieństwo, że się w téj prowincyi dawnéj Polski i urodzić musiał.

szlachetnych i nie zupełnie ubogich rodziców. Wychowanie i edukacyą musiał również odebrać wyborne, jak to bydź mogło na owe czasy; ponieważ po ukończonych studyach wstąpił był do zakonu jezuickiego; a po skassowaniu Jezuitów, wystąpił z zakonu razem z Dyonizym Kniaźninem czy też z *Franciszkiem* Karpińskim, tego dostatecznie dzisiaj przypomnieć sobie nie mogę: to tylko wiém z pewnością, że z zakonu przeniósł się do dworu xiążąt Czartoryskich w Puławach, gdzie obaj razem z poetą towarzyszem swoim zakonnym uplacowanymi zostali jako nauczyciele i przełożeni nad pokojowcami, przy opatrzeniu stołem i pomieszkaniem, honorowie bez żadnéj płacy, jako i inni szlachetni rezydenci.

„Gdy się Kommissya Edukacyjna w Warszawie utworzyła, przeniósł się Zabłocki do Warszawy, gdzie przez xiążęcia Czartoryskiego Generała Ziem Podolskich, w kancellaryi uplacowanym został.

„Przebywając w Warszawie, miał zręczność dania się poznać ze swoim talentem i gustem do sztuk teatralnych. To było powo-

dem do wejścia w ściślejsze zażyłości z aktorami i aktorkami, z których rzędu pojął żonę (nie pamiętam jéj familii), z nią spłodził dziécię (podobno córeczkę), lecz tę jako i żonę nie długo po połogu utracił.

„W tym czasie, najbardziéj, cierpiał wielkie niedostatki, i takie ubóztwo w garderobie; że mając honor prezentowania się na pokojach Generała ziem podolskich, przed wybieraniem się na bale wieczorne, cyrował sam sobie najpotrzebniejszą do przystrojenia się przystojnego odzież. Sam tego nieraz byłem świadkiem, bośmy wspólne mieszkanie zajmowali.

„Ubóztwa tego przyczyną była mała pensya Zabłockiego w Kommissyi Edukacyjnéj i nieumiejętność kalkulacyi, przez co do długów zaciągniętych we dworze na garderobę, przybywały nowe, i wiele mu kłopotu czyniły.

„Łaskę zawsze miał u xcia Generała ziem Podolskich, ale się o prezent przymówić nie umiał, bo był wstydliwy, skromny i ambitny. W tym samym czasie drudzy obrotniejsi, i z domu książąt i skarbowe podarunki często

dostawali. Kiedym radził Zabłockiemu, żeby się o jakąś dla siebie postarał pomoc, przedsiębrał w domu ze mną rozmawiając zawinąć się koło tego, ale codzień powracał nie niesprawiwszy; bo mu, jak powiadał, wstyd było za sobą się przymawiać, a takiego nie miał przyjaciela, żeby jego sprawę poparł, bo każdy za się.

„Do literatury zachęconym został przez xiążęcia Adama Czartoryskiego Generała ziem Podol. i Feldmarszałka wojsk austryackich, który mu przeznaczył do tłumaczenia dzieło *Saint-Reala*, i to było piérwszą jego pracą.

„Przez tegoż xiążęcia był zachęconym i do niektórych sztuk teatralnych, które książęciu dedykował: xiążę za to przedstawił jego królowi, któremu także dzieło dedykował, i dostał medal, ale żadnego polepszenia sposobu do życia; bo Zabłocki o nic nie prosił, a król się nie domyślił. A kiedy na stronie przyjaciele ubolewając nad jego położeniem, dziwili się że przy związkach z magnatami nic nie miał; zawsze ktoś był taki co zakonkludował: — „A jemu na co, on ma talent, gdzie

pójdzie stół otwarty! Insi utrzymywali, że większy dochód popsułby tego poetę, i że zawsze czy mało czy wiele, to straci. Prawda, że P. Franciszek nie był oszczędny, ale też i nie miał co oszczędzać. Cudzych obiadów nie lubił, i szydził z pieczeniarzy, naprzykrzać się nikomu przez delikatność nie chciał, a z niedostatków i natrętności niektórych wierzycielów często bywał smutny i melancholiczny; a czasem chcąc siebie rozerwać, wpadał w roztrzepanie. Perswazyą pocieszających siebie przyjaciół przyjmował z rozrzewnieniem. Nikomu nie zazdrościł; ale widział z boleścią, że przy wszystkich pochwałach jakie odbierał, o losie jego nie pamiętano, i na to się w poufałości skarżył, nie roszcząc osobistéj pretensyi do nikogo; często kończył tym: „Żyjmy! Pracujmy!”

„Jakoż bardzo często dzień i noc bez oderwania się od stolika pisywał. Pracował bardzo wiele i z wielką łatwością. Najdowcipniejsze pisma jego wychodziły w czasie Sejmu wielkiego satyryczne, w których wszystko znaleźć można było, co świadczyć mogło o

wysokich jego sposobnościach i rzadkich talentach.

,,Ogólnie mówić można, że pisma jego pod ten czas znalazły wielkie zalety od znawców i nieznawców, a szczególniéj od sławniejszych aktorów.

,,Dzieł jego w ogólności wyszło siedmdziesiąt kilka (1). Z dzieł swoich nigdy zysku nie szukał i nie miał żadnych. Co do dzieł teatralnych, najwięcéj ich pisał na prośby aktorów i aktorek, których szczególniejszym był czcicielem.

---

(1) Naiwny ten dobrodusznego korrespondenta, hurtem rachunek dzieł Zabłockiego zdaje się bydź przesadzony, chyba że ulotne sztuczki wiérszy lekkiéj treści za osobne dzieła chce uważać. Lecz w takim razie liczba ta nieskończenie pomnożyćby się dała. — Czytelnik chcący z większą dokładnością poinformować się o pracach pisarskich Zabłockiego, znajdzie ich wyliczenie w *Historyi lit. Pol.* Bentkowskiego, T. I. str. 301, 327, 427, 447, 529, 535, 544, 556, 573, 576 i t. d.; tudzież w cytowanym już VIm tomie dzieł Zabłockiego ed. F. S. Dmoch. przy *Wiadomości o życiu i pis.* Zabł., gdzie nie tylko dzieła drukowane, ale i niektóre rękopisma tego poety są wymienione.

„Ciągle, bez żadnego awansu w urzędzie, zajmował jednostajne miejsce w kommissyi edukacyjnéj (1), aż do czasu powstania krakowskiego, w którym to wypadku wezwany został do rządu rewolucyjnego na miejsce niebezpieczne, którego nikt przyjąć nie chciał, bojąc się kompromitacyi: lecz w tym rządzie nie widząc ładu, zgody i żadnego ku dobremu dążenia, porzucił ten odmęt, i poszedł na okopy w szeregi prostego żołnierstwa.... Po rozstrzygnieniu przeznaczeń Polski, ubogi, opuszczony, skołatany na umyśle, zostawiony samemu sobie, otrzymawszy lekki od przyjaciół zasiłek, *par pedes apostolorum*, prawie, udał się do Rzymu. Tam na funduszu polskim, podobno Hozyusza Kardynała i Biskupa Warmijskiego, którego jest także fundusz w Braunsbergu, (kamienica wielka na kilkunastu kleryków) przez trzy czy cztéry lata (bo z pewnością nie przypominam) uczył się *Teologii* i *Medycyny*, chcąc, jak powiadał

(1) Zabłockiego, przez grzeczność przyjętą u nas w tytułowaniu, nazywano *Sekretarzem*, lecz rzeczywiście był on tylko protokolistą.

potém, poznać naturę cierpień swoich duszných i cielesnych, i tym ile możności zapobiegać.

,,Nauki te uspokoiły jego cierpiący umysł, wróciły zdrowie i pozwoliły myśleć o sobie. Ale myśli te prowadziły go zawsze do melancholii; bo żadnéj pewnéj przyszłości przed sobą nie widział.

,,Tym czasem Xiążę Generał ziem Podol. wspomniał na niego, bo mu właśnie potrzebny był talentów i usposobień Zabłockiego człowiek. Dowiedział się tedy xiążę, że Zabłocki przebywał w Rzymie; wezwał go ztamtąd do Puław, dla edukacyi synowca Feldmarszałka Austryackiego Hadyka, którego z Wiédnia z sobą był przywiózł na wychowanie. Wyświęcił się więc Zabłocki w Rzymie i powrócił do Polski. Zajął się w Puławach edukacyą i prowadzeniem młodego Hadyka; lecz gdy młodzieniec ten nie odpowiadał jego staraniu i pracy, prosił o uwolnienie siebie od tak przykrego obowiązku, co i nastąpiło: zobowiązał xiążę Zabłockiego, aby odwiózł młodego Hadyka do krakowskiéj

akademii na nauki, pod dozór W^{o} Łęskiego Professora matematyki, a księdzu Zabłockiemu oddał liche probostwo w Górze (1), pod Puławami za Wisłą, chcąc tém usługi jego i sprowadzenie do kraju wynagrodzić; bo Zabłocki, jak to sam powiadał, niemyślał już szukać losu w Polsce, gdzie go wszystko zawodziło. Tam zostawał przez trzy lata w największym prawie niedostatku, gdzie utrzymywał się tylko supplementem przyjaciół. Nakoniec, nękany nędzą i rozpamiętywaniem w ucisku strawionego całego życia, wpadł w okropną hypochondryczną melancholią, która częstokroć do utraty rozumu przychodziła; bywał na przemiany, albo smutny i bezwładny, albo nazbyt ożywiony; lecz prawie zawsze bez pamięci. W tym stanie, przeniesiono go, dla kuracyi do Puław. W przeciągu téj choroby umarł proboszcz Konińsko-Wol-

(1) Xiążę Generał ziem Podolskich dał Zabłockiemu probostwo Gorskie, w tém rozumieniu, że jest intratne; co na słuszną obronę Xcia wyrazić muszę. Bo niektórzy narzekali na Xcia, że zawiódł księdza Zabłockiego. (*Grümberg.*)

ski, po którym xiążę oddał to probostwo Zabłockiemu, do którego się po kilko-miesięczném leczeniu w Puławach przeniósł. To probostwo już mu czyniło intraty do kilku tysięcy złotych. Tu świadkiem byłem, jak pracowicie pełnił duchowne obowiązki; jak ubogich i w nędzy zostających wspiérał, chorych opatrywał lekarstwami, obcych nawet chorych leczył i potrzebami, co do życia zasilał; mawiając często: że nic niemasz okropniejszego w życiu, jak potrzeby, przy niemożności ich zaspokojenia. Zaciągnione dawniéj i w Górze obowiązki u przyjaciół, ile możności zaspakajał, prosząc Boga najwyższego, żeby mu tyle pozwolił życia, iżby się z długów mógł wypłacić. Dla tego, chociaż się dochody jego znacznie, w porównaniu z dawnym bytem świeckim i duchownym, pomnożyły, co do wygód życia, zawsze też same prywacye znosić musiał; bo wolał sam cierpieć, aniżeli cudzą własność umyślnie uronić.

„Oprócz obowiązków plebana, które święcie i ściśle wypełniał, brał się często do przezierania

pism swoich; i zawsze z nich był niekontent, i z téj przyczyny zawsze je poprawiał. Dziwactw żadnych nie miał. Dworskich pochlebstw nie cierpiał; dopełnianie nawet zwyczajów za obowiązek poczytanych przykro dlań było; po których odbyciu natychmiast powracał na ulubioną samotność. Odludnym wszakże i niechętnym dla świata mizantropem nie był bynajmniéj; chwalił owszem pożycie towarzyskie, rozrzewniał się nad szczęściem familijném, a obcowanie z osobami równémi sobie, o których życzliwości był przeświadczony, nie tylko że lubił, ale szukał go nawet. Chociaż względem ludzi mniéj sobie z charakteru znanych, bywał niepewny i podejrzliwy, w obecności ich doznając pewnego rodzaju żeny i mitręgi bojaźliwéj; rzecz prawie zwyczajna u skołatanych nerwowémi cierpieniami....

„Przy zgonie jego nie byłem obecny; lecz w roku 1825, jadąc do Warszawy przez Konińską-Wolą, dowiedziałem się od proboszcza miejscowego, następcy po nim, który był za życia jego pomocnikiem: że chorował krótko i umiérał z największą spokojnością, i że pi-

sma swoje poprawione, i resztę prac swoich, które nie były nigdy ogłoszone drukiem, złożył w ręce xcia Czartoryskiego. Oświadczył mi i to ksiądz proboszcz, że od niejakiego czasu przed zgonem, bardzo często o mnie wspominał, i żądał przynajmniéj raz jeszcze widzieć się ze mną na tym świecie. Gdyby się to szczęśliwém zdarzeniem stać mogło było, zwłaszcza przy danych mi przez ciebie zleceniach P. Janie, wielebym mógł zaspakajających wyczerpnąć odpowiedzi na przysłane mi punkta.

„Przyjaźń jego była, w każdém zdarzeniu rzetelna, stała, czynna i do tego stopnia bezinteresowna, że się sam częstokroć dla niéj poświęcał, a zawiedziony i nagrodzony nieraz niewdzięcznością, nigdy na to się nie użalał, co pochodziło z głębokiéj znajomości ludzi, których tak dobrze w komedyach swoich wystawiać umiał.

„Dożył, tak sądzę, lat około siedmiudziesiąt, był albowiem daleko starszym ode mnie....

„Wybierz więc z tego szanowny mój P. Janie, według danych mi punktów, co ci się

zdawać będzie godném wiadomości, i podaj miłośnikóm literatury, którzy przypomnieli przecięż sobie już prawie zapomnianego, w obrębie naukowym, a u dzisiejszych, jak to nie raz słyszę, poetów fałszywą opinią mającego naszego niegdyś komika, a mojego z dzieciństwa towarzysza i przyjaciela. Niechaj dzisiejsi podawając zalety poprzedników swoich wiekóm następnym swojéj nie ubliżają sławie...."

P. Grümberg, najlepszą podobno i najwięcéj interesować mogącą napisaćby mógł biografią Zabłockiego, gdyby wypadki życia jego troskliwie był zapisywał, albo je teraz dostatecznie mógł sobie przypomnieć. *Studia* nad dziełami autora należą do krytyki literackiéj, ależ i ta sama krytyka jakże wiele w pismach odgadnąć i trafnie ocenić może, znając i charakter i potoczne, na pozor mało znaczące, szczegóły życia pisarza.

Zabłocki niepomny o świecie i zapomniany za życia, posiłał jednak i utrzymywał związki swoje zdawnymi przyjaciołami żyjąc nawet w oddaleniu, czego dowodem będzie na

stępny wyjątek z *Dziennika Wileńskiego* r. 1817, T. VI, str. 676 i nast.

Konińska-Wola 3 Września 1817.

(Lubo znawcóm rzadkiego i wyższego w literaturze naszéj talentu *Franciszka* Zabłockiego (od lat kilkunastu plebana w Konińskiéj-Woli o dwie mile od Puław) nie bez żalu przychodzi wspominać, że już od roku 1786 nic z pod jego nie ukazuje się pióra; wszelakoż, gdy pierwéj nabyta chwała i położone dla ojczyzny zasługi, wszelką o tym Terencyuszu naszym wiadomość czynią interesującą; sądzimy przeto dorzeczném umieszczenie tu acz krótkiego wyjątku z listu jego, pisanego do przyjaciela (P. Grümberga) do Wilna. — *Wyd. Dz. Wil.*)

„.... Łączę podziękowanie za kommunikacyą kilkudziesiąt numerów *Wiadomości brukowych*, którémi wszyscy czytający je przedziwnie się ubawili. Czego więc nie dokazały w Litwie uczone dyssertacye z ambony miane przez ś. p. biskupa Karpowicza, któż wié, czy nie dokażą ulotne pisma Wiadomości brukowych, byle je czytający chcieli

z taką uwagą czytać, jakiéj są godne, domyślam się, iż do tego pisma, wiele przykładać się musi uczone towarzystwo XX. Pijarów, od dawna znane ze szlachetnego sposobu myślenia swojego.... O sobie nic nie mam donieść, jak tylko że jestem dość zdrów w stosunku do lat 66 wieku mojego. Zredukowałem się zupełnie do pełnienia obowiązków moich ile mogę; których przecież choć nic najważniejszych, zaczynam czuć ciężar.— Wyszedł u nas dekret ściągający się do dziesięcin, którego skutkiem będzie zmniejszenie intrat duchownych ut 6: 2. Kto miał 6,000 będzie miał 2,000....

Wydawca dziennika wileńskiego, przez to napomknienie, iż Zabłocki przez lat 31 nic nie ogłosił drukiem, chciał go niejako w pole wyprowadzić i wyzwać do pisania lub do ogłoszenia rzeczy wypracowanych. W tym zamiarze, ówczesne towarzystwo *Szubrawskie* wydające *Wiadomości brukowe*, wybrało go na swojego członka, i posłało mu patent; ale Zabłocki czy go nie odebrał, czy też przy swojém zwykłém, podejrzliwém nie-

dowierzaniu poczytywał to za jakiś rodzaj mistyfikacyi; dość na tém, że ani na pismo posłane do siebie nie dał żadnéj odpowiedzi, ani swoich artykułów do Wiadomości brukowych nie przysyłał.—Zajmowały go wtenczas obowiązki duchowne, i martwił kłopot ze zmiejszenia się dochodów, których, może, na zaspokojenie zaciągnionych długów potrzebował; nie myślał przeto bynajmniéj o pisaniu. Wszakże, powiada P. F. S. Dmochowski (na przytoczoném już miejscu) że: „W r. 1809, gdy część Gallicyi przyłączona została do Xięztwa Warszawskiego, ocucił się Zabłocki z odrętwienia swojego, i częstokroć napisał wierszyk ulotny, ale go natychmiast po przeczytaniu niszczył".— Według tegoż P. Dmochowskiego, Zabłocki umarł d. 10 Września 1821 r.— Żadna wiadomość o nim w pismach publicznych, żadna mowa w towarzystwie uczonym przyjaciół nauk, żaden pomnik w teatrze Warszawskim nie uczcił jego zasług dla literatury i kraju. Dzieła jego bez wyboru z grubémi błędami, bez żadnych objaśnień, jak gdyby na urągowisko,

w tandeciarskiéj edycyi P. Dmochowskiego ogłoszone razem zostały przed kilką laty, i niczyjéj na siebie nie zwróciły uwagi; wtenczas kiedy spory, pochwały krytyki i antikrytyki o talencie Karpińskiego, kiedy panegiryki Szymanowskiego i Tymienieckiego, Tańskiego i w. i. pod niebiosa wynoszą ich talenta!

JUNG STILLING

PRZYJACIEL GOETHE'GO.

Nie zawsze tłumacze wybiérają najbardziéj zajmujące książki, lub takie, które Europie najciekawsze przynoszą odkrycia. Plemie to, kupieckie nieco, woli raczéj stosować się do wymagań publiczności, aniżeli nią kierować. Nędzne romanse, powiastki dwuznacznego smaku, paszkwile jednéj opinii pochlebiające, zawsze prawie mają piérwszeństwo; takie to są arcydzieła i takie wzory, jakich się chwyta tłumacz, i swoim współobywatelóm zaleca. Toż Bóg wié jakie zdanie narodu Europejskie, mają jedne o drugich. Znają się nawzajem tylko przez swoje wady. Tłumaczenia

rozpładzają świstki teologiczne a nie arcydzieła. Boileau w starości swojéj, nie wiedział czy istniał nawet człowiek nazwany Dryden, albo jaki drugi nazwiskiem Szekspir. Za naszych nawet czasów, ileż nie trzeba było czasu i usiłowań, żeby Francuzów z Wordsworth'em oznajomić, Anglikóm Wiktora Hugo dadź poznać.

Do piérwszego rzędu ksiąg, jakie niedbałość tłumaczów poświęciła powiastkóm bez wartości, zmyśleniom bez talentu, dziełóm bez moralności, należy małe dziełko sławnego professora Jung Stilling: jest to niemiecka spowiedź młodego ubogiego człowieka, który z ostatnich społeczności szczeblów, wznosi się przez szlachetność duszy, wytrwałość i pracę, do świetnego i godnego zazdrości położenia. Nie znajdziesz w tém opowiadaniu gorączki wzruszeń, które znamionują Rous-s'a. Żadnego przeciw społeczności buntu, żadnych wrzących namiętności, żadnéj deklamacyi przeciw bogactwóm i powodzeniu—nic z tego demokratycznego zapału, z tego gwałtownego uniesienia, z téj śmiałości filozofi-

cznéj, jakim Rousseau swoję sławność winien. Jung Stilling, syn westfalskiego chłopa, należał do ery wcale różnéj społecznością i cywilizaciją. Nie urodził się ów jak Rousseau, między kunsztowną Italją i satyryczną Franciją, w małéj rzeczypospolitéj oddanéj krytyce i analizie. On przedstawiał poczciwą, niemiecką ludność staroświeckich czasów; wierzącą, szorstką, naiwną, kochającą i przenoszącą wiarę nad wątpienie: przejętą uszanowaniem dla swoich przełożonych, czczącą po Bogu, pana hrabiego i wójta gminy; łączącą z grubością swoich materyalnych zwyczajów dziwną wykwintność metafizyki naturalnéj i romansowéj dziwaczności. Widać tę ludność wybornie odmalowaną przez P. Jung Stilling, jednego z jéj dzieci. On wydobył na jaw jéj uczucia, jéj rozmowy, i nie można oprzeć się zauważaniu, jak wiele jest swobody, pojętności, mocy myśli i istotnéj niepodległości u tego ludu całkowicie obcego idei politycznéj i tegoczesnym wydoskonaleniom.

Wiele dzieł nam daje prawdziwe lub fał-

szywe, istotne lub zmyślone, ujmujące lub wstrętne wyobrażenie, życia dworów, tego głównego życia, co się pod jedwabiem kryje. Zdaje się, że myśl pisarzy chciała, jak słońce, oświecać tylko wyżyny społeczne. Wybornie znamy pałace, nie wiémy wcale czém jest strzecha wiejska. Historya krótkim targiem puściła ludności, które pług lub motykę dźwigały, a które lubo nie nosiły książęcéj korony lub feudalnego miecza, musiały przecież ważyć w przeznaczeniach ludów. Toż nic rzadszego i nic ciekawszego jak książka, co się dopuszcza wejrzeć naiwnie w wewnętrzne życie mieszkańców gmin i mieszczan. Tam są ukryte sprężyny, któremi ludzkość wielkie swoje poruszenia odbywa. Tam jest lud, tam kryją się te zaniedbane a tak potrzebne w krytycznych świata okolicznościach zasoby, tam mieszka to nieskażone plemie ludzkości, zawsze świéże, zawsze dzielne, zawsze hartowne pełnieniem ścisłém i codziennném domowych cnot i obowiązków społecznych. Rozdrobiony w poziomych, pojedyńczych siołach, tam mieszka ten olbrzym,

lud, który w ciszy, pracuje skromnie na utrzymanie wątku moralnego życia ludzkości, i kosztem krwawego potu wznosi z poświęceniem uwielbienia godném wielką massę narodowego bogactwa. Zejdzie burza, on to znowu wstępuje w szranki z maczugą Herkulesa, i bez nadziei osobistéj nagrody, w widoku tylko ogólnego polepszenia bytu, niesie życie i zdrowie swoje w ofierze; a skoro się horyzont rozświetli, ujrzysz te czarne chmury co zbawienny deszcz i grom rozniosły, zapadające między samotne wzgórza, gdzie zielona kwieci się równina, i srebrną wodą strumień brzęczy. Zawsze ofiarą i zawsze zwycięzcą; a przecież niósł dotąd tylko ofiarne wieńce, a nigdy bluszczowéj korony! Spojrzyj jaki przywiązuje się interes do obrazów domowych J. J. Rousseau, do życia aktora opisanego przez Goldoni'ego. Jest to okienko w rocznikach ludzkości, które coraz się zapełnia. Interes jaki autobiografija Stillinga nam przedstawia, zwiększa się jeszcze, kiedy wspomnimy, że człowiek ten bez wychowania i bez przyjaciół, który tak swoję samotną

utorował drogę; żył w kraju zadawnionéj arystokracyi, i zaledwie ogładzonéj feudalności, i że z krawieckiego kramu, i z łona najpospolitszych zwyczajów i społeczności, przyszedł do tytułu przyjaciela Goeth'ego, radźcy wielkiego książęcia Badenu, i imienia prawie europejskiego. Uważany tak dla swojéj wiedzy, jak i dla swoich cnot moralnych, Stilling był kolejno krawcem, węglarzem, rolnikiem, bakałarzem parafialnéj szkółki i professorem uniwersytetu w Heildelsbergu. Zeznania takiego człowieka prostego serca, wzniosłego umysłu, czynią z rzeczywistego życia, romans, któremu mało wyższych lub równych znajdzie się dzieł dla wdzięku i niezwyczajności szczegółów. Moc duszy, odwaga moralna, czystość nieskażona, jaka w jego prostych przebija się kartach, są wyborną przeciw-trucizną na deklamacye wbrew-społeczne Chatterton'ów, i tych wszystkich, którzy chcą od swoich współobywateli sławy, majątku, wsparcia, znaczenia, a w zamian dają im tylko swoje wymagania i swoję bezczynność. Téj ciżbie mniemanych wielkich niepoznanych ludzi, przedstawićby

trzeba życie proste, szlachetne i odważne Crabb'ów w Anglii, Stilling'ów w Niemczech.

Lat temu ośmdziesiąt prawie, miasteczko Florenburg zakryte i jakby zagrzebane w jednéj z dolin westfalskich, służyło za punkt środkowy cywilizacyi dla okolicznych siedzib. Nie daleko ztamtąd leżała gmina Tiefenbach; schowana między wyżynami Gillern i Geisenbergu, ledwie ją dojrzeć było. Tam mieszkała familija Stilling'ów, familija dziedzicznie uboga, dziedzicznie pozioma. Dziad Jung'a Stilling był sobie po prostu węglarzem. Sześć dni w tygodniu pędził w lesie, w sobotę wieczór przychodził swoję rodzinę odwiedzić, w Niedzielę śpiéwał w kościele, uścisnął swoich dwu chłopców i swoje cztery córki, przysposobił żywności na tydzień następny, i w poniedziałek do roboty wracał. Wstrzemięźliwy, umiarkowany, prawy, religijny, w wiejskiém tém życiu zachował upodobanie w przyjemnościach imaginacyi, namiętną miłość muzyki, i tę skłonność do roskoszy cichych i mistycznych razem, jakie te-

gocześni Niemcy zdaje się wzięli nieskażonym spadkiem po swoich piérwszych przodkach.

Jednego wieczora w sobotę, kiedy star węglarz zstępował z lesistéj pochyłości Geisenbergu, i zanucił całémi płucami hymn protestancki, poczynający się od tych wiérszy:

Już jasne słońce skryło się za góry!

sąsiad jeden zaszedł mu drogę, by mu złą przynieść nowinę, staranie miłosierne, jakie radzi zawsze przyjmują na siebie sąsiedzi. Zachowujemy téj rozmowie całą jéj prostotę:

—,,Wiész ty, ojcze Eberhard, co się z twoim synem młodszym dzieje, z Wilhelmem krawcem?

—Nic, to pracowity i tęgi chłopak, czy mu się przytrafiło jakie nieszczęście?

—Nie zupełnie, ojcze Eberhard, ale należy cię zawiadomić. Córka tego biednego kaznodziei odrzuconego przez swoję jednotę, Doris, opętała twojego syna; on się chce z nią żenić.

—Zawsze dzieciom moim mówiłem, sąsiedzie, że mają się oni żenić kiedy chcą i jak chcą, bogato czy ubogo. — Niech gospodyni

będzie pobożna i uczciwa, to wszystko czego potrzeba.—Moja poczciwa Małgorzata nic nie miała, i dziedzina moja grubémi była obciążona długami, a gorzéj nic przez to nie było.— Każdemu dziś z moich dzieci mogę dadź po sto sztuk złota w gotówce.—Pan Bóg nam pobłogosławił!

Węglarz zastał Małgorzatę Stilling gotową na jego przyjęcie: znalazł pszenne ciasto przed ogniem w gorącym popiele i mléko w cynowym dzbanie na staréj dębowéj ławie. Córki już były w łóżku i Małgorzata traciła cierpliwość niedoczekując swojego męża.

—Cóż to! zawołał węglarz składając swoje na stół narzędzia, dla czego Wilhelma tu nie ma?

—Nie wiém, odpowiedziała Małgorzata, on teraz poźno wraca.

Węglarz wieczerzał; a w kilka chwil poźniéj przyszedł Wilhelm zamyślony, zmitrężony: pozdrowiwszy swoich rodziców, usiadł smutnie, skłonił czoło między dłonie i milczał.— Trzeba było, żeby stary węglarz wydarł mu jego tajemnicę; ale skoro tylko mu się

z niéj zwierzył, ułożono, że Doris i Wilhelm zamieszkają dóm ojca, że młoda żona pomagać będzie Małgorzacie, i że Wilhelm swojego stanu nie opuści.

„Bóg zapłać! mówił Eberhard Stilling; niech nam ją przyprowadzi, będzie żyć z nami.— Wilhelmie, Wilhelmie! myśl o tém, co masz robić.— Jest to rzecz bardzo ważna.— Oby Bóg twoich ojców dał tobie i twojéj żonie wszystko, czego życie ludzkie wymaga." Łzy potoczyły się z oczu Wilhelma, uścisnął rękę Eberharda i Małgorzaty i poszedł spać.— Starzec odśpiéwał protestancki hymn wieczorny, zamknął drzwi na drewnianą kłódkę, spytał Małgorzatę czy była w oborze i legł na starém łożu.

Obraz ten wiejski wart zdaje mi się więcéj, niż wszystkie idylle Gesnera.— Następuje potém ceremonija ślubu, ślubu zupełnie niemieckiego, gdzie drewniane łyżki, cynowy kredens, białe dzbanki o błękitnych uszach, talerze toczone z drzewa, ulubione gęste piwo i nieskończone prawie ciasta przewybornie wyglądają.— Trzeba widzieć, kiedy ku

końcowi wieczora, Wilhelm z swoją małżonką niknie w cieniach lasu, który Geisen obrasta, a staruszkowie pozostają sami w obec ogromnéj bani gęstego piwa.

—„Ach! odzywa się wnuk węglarza, który tę historiją spisał, gdyby życie ludzkie nie było tak twarde; gdyby nie było ni deszczu, ni gradu, możnaby bez wielkiego trudu z tego świata raj zrobić."

Małżeństwo zmieszało nieco stare familiyne zwyczaje, zwyczaje stałe, niezmienne, niezachwiane i jak wysteriotypowane w Niemczech.— Znajdziesz tam jeszcze nie jednę familiją Stilling.— Nie zruszono z miejsca starego ojca, który siedział zawsze między ścianą i stołem co się rozkładał w godzinach biesiady, i wśpiérał na pożyczonéj nodze, którą potém pod ścianę rzucano.— Tam to węglarz czytał swoję bibliją, tam bawił się szczepaniem drzewa i struganiem jego po prostu, na wyrabianie zeń poźniéj sprzętów i narzędzi gospodarskich; tam uczył swoje córki chórem śpiéwać, i tam dumał, drzémał lub kazał czasu długich zimowych wieczorów.

Johann-Heinrych-Jung Stilling był jedynym owocem małżeństwa Wilhelma i Doris.— Biedna Doris podobna była bardzo do córek wikarego Wekfildzkiego: upodobania jéj były szlachetne, a położenie nizkie. Ksiądz jéj ojciec dał był jéj wychowanie nad stan wyższe.— Była ona łagodną i dobrą, ale cierpiała pod strzechą węglarza. Miłość, jaką miała dla swojego męża, nie mogła ją pogodzić z serdeczną prostotą tych co ją otaczali; a niezmienna prostota jéj życia i słabość zdrowia czyniły ją niesposobną do prac rolniczych. — Nie wytrzymała biedna, rodzaj jakiegoś nabożnego smutku i cichéj rospaczy ją opanował; rozwinęła się słabość piersiowa, i po trzech miesiącach cierpień, Doris skonała na ręku ojca Eberharda.— Na dni kilka przed tym wypadkiem, mąż jéj wyprowadził ją nad brzeg małego jeziora, które oblewa wieże zamku Gejsenberg.— Wówczas żona jego umierająca prawie, odezwała się w te słowa, które przywodzi Stilling i które dobrze znamionuią duch mystyczny tego szczególniejszego ludu.

„Chcę umrzeć, mówiła ona, nie dla tego bym miała przestać kochać ciebie i twoję rodzinę; ale trzeba bym ci opowiedziała, co się we mnie dzieje.— Kiedy wszystko zazielenia się na wiosnę, kiedy wszystkie kwiaty i wszystkie drzewa odzyskują siłę i przywdziewają swoje liście, nie jestem ani wzruszoną, ani zaspokojoną; zdaje się, że odmłodnienie przyrodzenia wcale się mnie nie tycze.— Jeźli przeciwnie na mojéj drodze znajdę liść zżółkły, gałązkę uschłą, albo kwiat uwiędły; wówczas, mój przyjacielu, oczy moje do łez się czują; i nie są to łzy smutku, ucieszona jestem prawie.— Niegdyś jesień mię zasmucała, wiosna weseliła.— Widzisz tedy, Wilhelmie, że Bóg mię powołuje do siebie, jak ziemia powołuje do siebie liść i kwiat co spada: ale jestem pewna, Wilhelmie, że my się spotkamy tam wyżéj!”

Wilhelm owdowiawszy zapadł w ciężki smutek, który mu przeszkadzał zatrudniać się i swojém rzemiosłem i wychowaniem swojego syna Junga S t i l l i n g.— Tedy stary węglarz brał chłopaka na swoje kolana, kazał mu bi-

bliją syllabizować i uczył go Lutra hymny śpiéwać.— Jemu to przyszły professor języków starożytnych i nowożytnych winien był piérwsze zarodki swojego nauk zamiłowania.— ,,Dla mnie, powiada on, jeden Bóg żył na ziemi: a tém był dziad mój węglarz. — Jeszcze dziewięć lat nie miałem, kiedy już on usiłował wytłumaczać wszystko, czego moje drobne pojęcie nie rozumiało.— Wprowadził mię do jednéj rękodzielni utrzymywanéj przez braci Morawskich, którzy niedawno w sąsiedztwie naszém osiedli.— W ogólności, ustawnie bardzo źle o nich mówili, utrzymywali nawet, że ci biédni bracia w głębi swojego świeckiego klasztoru tysiące obrzydliwości popełniali.— Dziad mój mocniejszéj i wznioślejszéj duszy, ścisłą owszem zabrał znajomość z jednym ich starszym, imieniem Mikołaj, człowiekiem ukrytego genijuszu, który rzucił w mój umysł piérwsze zasady matematyki i jeometryi wykreślnéj.— Będę zawsze o nim pamiętał.

Tymczasem rospacz Wilhelma koiła się powoli; wrócił on do swojego krawieckiego rze-

miosła i oddawał się po trochu wychowaniu Heinrycha.—Dziad za srogim go znajdował.— „Strzeż się, mówił stary węglarz, zaszczepiać w to dziecko zbyt żywą bojaźń.— Ktokolwiek drży, łatwo kłamie.— Nie trzymaj go tak krótko Wilhelmie, kiedy kto odbiéra zbyt liczne i srogie rozkazy, nie omieszka bydź często nieposłusznym, wszyscy wolność lubią.”

W rzeczy saméj surowość ojcowska krawca, którego śmierć żony uczyniła była posępnym i ostrym, zwalniała się stopniami i cała gmina dziwiła się postępóm dziecka.— „Boże mię zbaw! wykrzykiwał dziadek, owoż młody ptaszek, którego pióra piękniejsze i bujniejsze są, niźli kiedykolwiek bywały w familii; on nam cześć przyniesie!”— Czułość Junga rozwijała się i żałujemy kilku scen dziwnéj naiwności, scen, które nie ustępują najczulszym kartkóm Jana-Jakóba, a które tutaj dla braku miejsca opuścić musimy.— Dusza jego karmiła się czystémi uczuciami i pojęciem powinności: umysł jego rozprzestrzeniał się codzień pod wpływem tych dwóch ludzi prostych, ale światłych.

,,Było to w poniedziałek rano, powiada biograf, w piękny, wiosenny ranek: dziad mój miał do roboty wracać i mnie z sobą chciał zabrać, prosił tedy mojego ojca, by na to przystał. — Jakżem był szczęśliwy! wstępowaliśmy razem na cienistą pochyłość góry Giller, a starzec kazał mi opowiedzieć sobie przygody pięknéj Meluzyny, które umiałem na pamięć."

,,Mamy jeszcze trzy mile drogi, rzecze mi, lubię stare historije, opowiedz mi to?".

,,Dziad mój słuchał wszystkich szczegółów téj staréj powieści, jak gdyby mu one były słowami Ewangielii: tak dalece lękał się dopuścić mi wierzyć w podobieństwo kłamstwa. Szliśmy środkiem lasu, w piękny ten ranek: wszystko, co mię otaczało było rajem dla mnie. Na małym strzyżonym wzgórku wznosiła się chatka węglarza, pokryta darniną, z jakimsiś kominkiem z dwu wielkich dzikich kamieni złożonym i leżą mchem usłaną. Kęsem chleba i trochą wina odbyliśmy śniadanie. Mój dziad do roboty wziął się, a ja błądziłem po sąsiednim lesie, myśląc o pełnéj

dziwów historii Meluziny pięknéj, i o wielkich paladynach, których świetne czyny napełniają nasze ballady gminne. Słońce miało się ku zachodowi, uradowany byłem z dnia mojego, moim, moją samotnością, mojémi marzeniami dziecka, kiedy dziad mój nadszedł. Usiedliśmy zażyć posiłku, przed chatką, pod promieniami wieczornego słońca.

—,,Dziadunio, mówiłem mu, kiedy mi czytać dajesz w książkach, że bohatyrowie dawniejsi mieli przodków, których oni imiona znali i mnogie ich liczyli pokolenia, bierze mię ochota też wiedzieć, jacy byli moi przodkowie. Dla czegobyśmy nie mieli pochodzić od wielkiego jakiego książęcia? powiadałeś mi, że wszyscy krewni mojéj matki kaznodziejami byli, ale ja twoich nie znam: powiedz mi o nich, spiszę to sobie dokładnie.”

Stary ojciec Stilling uśmiéchać się począł i odrzekł:

—,,Trudno wiedzieć zkąd się człek wywodzi, z książęcego czy pospolitego rodu, ale co też na tém tobie lub mnie zależy? Przodkowie twoi byli ludzie uczciwi i bardzo pobożni; ma-

ło jest książąt, którzyby tyleż o swoich powiedzieć mogli. Twój dziad, twój naddziad i ich dziadowie nie rozkazywali nikomu, ale byli wszyscy kochani i szanowani; wszyscy w starości pomarli wprzód pożeniwszy się dobrze i nie zażądawszy cudzego dobra. Znajdziesz ty ich tam w górze Heinrychu. Zatrzymaj w pamięci na zawsze ten wieczór. W niebie my będziem wszyscy z najlepszéj szlachty, i jeźli ty chcesz się tak sprawiać jak oni, będziesz szlachcicem jak oni."

„Tak, tak, rzekłem płacząc, ale powiedz mi cokolwiek więcéj o przodkach naszych Stilling'ach?

„Rodzic mojego naddziada zwał się Holty Stilling; narodził się on około 1500 r., i znał reformatora Zwingla. Gdy mu niechciano pozwolić swobodnego wyznawania jego religijnéj wiary, poszedł osieśdź w 1530 r. w Tiefenbach, gdzie pojął za żonę córkę Hansa Stachler. Był to silny mąż; bił się jeden przeciw pięciu złodziejóm, którzy uprowadzali cztéry jego krowy, całe jego bogactwo, i zmusił ich wyrzec się swojéj zdoby-

czy. Reinhard Stilling jego syn, uprawiał spokojnie kawał ziemi jaki mu ojciec zostawił; ożenił się w pięćdziesiątym roku swojego życia, a w sześćdziesiątym został ojcem Henryka Stilling mojego dziada, który więcéj niż stuletni umarł. Ten był czynnym człowiekiem. Kupił sobie konia i przewózką się trudnił: podróżował po Niderlandach, Saksonii i po całych Niemczech. Drogi wówczas były w złym stanie, zbójcami zapełnione: wszyscy inni woźnice pod jego udawali się opiekę. Nie było domów zajezdnych na gościńcach: trzeba było wieczerzać, obiadować i konie karmić pod gołém niebem. Wszyscy mieli zwykle muszkiety ponabijane i wielkie pałasze nakształt mieczów. Gdy wieczór nadchodził, ustawiano podcięźne wozy w koło i koniom owies zasypywano (1). Jeden z przewoźników pod wóz się wkradał z muszkietem

(1) Ludzie umieszczali się w śrzodku; śpiewano pieśń wieczorną; mój dziad zwykle takt wybijał. Zawsześmy muzykami byli. Rozciągano potém płaszcze i kołdry na ziemi i zasypiano.

w ręku i straż trzymał. Pewnego wieczora przyszła kolėj na mojego dziada; przewoźnicy obozowali na polu Hessyi; koło północy usłyszał on szelest na prawėj swojėj stronie; ciemność była gruba i księżyc nie świecił. Inni woźnice byli sobie podchmielili, a dziad mój nie polegając na odwadze pijanych, wyszedł kradkiem ze swego ukrycia i postąpił ku stronie zkąd szelest wychodził. Tam dwaj zbiegli żołnierze uprowadzali wieśniaczkę krępując ją chustkami; przodek twój bił się przeciw tym dwóm ludzióm, niewzywając pomocy swoich dwudziestu pięciu towarzyszy, którzy spali; ranił jednego i odbił kobietę. Na starość zubożał on; posiadłość nasza obciążona była długami jakich mój ojciec spłacić nie był w stanie. Wszyscy Stilling'owie, kochane moje dziecię, spoczywają rzędem na cmentarzu w Florenburgu, a ja com jeszcze tam nie legł, miałem szczęście, za pomocą bożą, wypłacić się zupełnie. Nie ma już długów w familii.

—,,Zapiszę to wszystko, zapiszę, rzekłem mojemu dziadowi z pełnémi łez oczyma: mam

też i ja moich przodków, mam przodków również jak i rycerze.

„Dziad mój uśmiechał się nic nie odpowiadając. Nazajutrz nie omieszkałem zapisać wszystko to com wiedział, i użyłem na to pustych kart staréj muzycznéj książki. Próżno mi siwieją włosy, nie zapomnę nigdy téj epoki mego życia, tego uświęcenia mojego chłopskiego szlachectwa, tego głębokiego uczucia godności plemienia zacnego i pracowitego, uczucia, które mi głęboko w serce poszło, które się tam ustaliło nieznikłym sposobem.”

Wkrótce śmierć sprzątnęła zacnego Stilling'ów potomka, Eberharda Stilling. W dniu nawet, w którym ma ducha wyzionąć, oddaje się wszystkim swoim pracóm wiejskim, naprawia starą strzechę co dóm jego pokrywa i osłania, i zawsze śpiewając drżącym swoim głosem hymny święte luterskiego wyznania, sili się wleźć na wiśnię, która poczyna się obciążać dojrzałym owocem; w pośród zielonych gałęzi i rumianych jagód; widzisz tę głowę białą, te długie srebrne włosy; szczególniejsze, fantastyczne prawie wesele zdaje

się błyszczeć w jego spójrzeniu i ożywiać głos jego. Złazi, i z motyką w ręku, odrywa skibę darniny, którą na dachu budynku chce umieścić."— Zaiste, powiada swojemu wnukowi, ta bryła ziemi byłaby niezłém wezgłowiem na długą noc ostatniego dnia! jak ci się zdaje?"

Znajome już jest wnętrze téj poczciwéj niemieckiéj chaty; nie będziemy opisywali w szczególności ostatniéj sceny zacnego Eberharda. Można już było zrobić sobie wyobrażenie téj prawości, téj szczérości, téj szlachetności uczuć, zespoliliśmy się z tém niezmiennném gospodarstwem, z tém życiem zawsze jednakiém pokoleń niemieckich, ze zwyczajami téj chaty, w któréj sprzęt każdy, każde naczynie nie zmieniło miejsca od stu pięciudziesiąt lat. Sąsiad znajduje tam jeden zawsze porządek, tęż samę czystość, toż samo ubóztwo, tęż samę zadawnioną uczciwość. Pójdźmy za młodym Stillingiem w świat, na którym się umieścić skryty go niepokój wiedzie. Duchowny parafii, Stolbein, uczy go po łacinie, bierze na siebie wyniesieniu się jego pomagać.

W piętnastym roku życia zostaje nauczycielem szkółki w Quelberg. Drwalnik niejaki na imie Krüger pożycza mu kilka tomów, między którémi znajduje się Homer, czyta Homera podczas wypoczynku dzieci. Szkółka leżała na stoku wzgórza, siadał, powiada ów, u okna, i ztamtąd zapatrywał się na morze zieloności nakropione całe bielejącemi kwiaty, na wsi rozrzucone po dolinie i zawieszone na sąsiednich górach, na starożytne dęby Gilleru i zachodzące słońce. Homer nie szukałby zaiste godniejszego siebie obwodu. Stilling czynił się przyjacielem chłopków, zacnego i patrijarchalnego plemienia, które odśpiewywało mu ułamki starych wiejskich ballad, czego z uniesieniem słuchał, wieczorem, podczas, kiedy na równinie tłustych cielic dzwonki odzywały się tam i ówdzie, kiedy dzieci na wolność puszczone, po pastwiskach biegały z swojém owsianém ciasteczkiem w ręku, kiedy niewiasty oczyszczały dziedzińce; kiedy kogut ostatnie swoje pienie rozwodził potrząsając po raz ostatni swojémi pół ciemnémi, pół pomarańczowemi pióry; i kie-

dy drwale i węglarze, wracając z lasu, szczęśliwi z nadchodzącéj godziny wytchnienia, wypoczywali sobie pod fontanną.

Epoka téj błogiéj szczęśliwości długo trwać nie mogła. Pastor Stolbein nie rad był swoim owieczkóm, które jemu w tąż oddawały; wymagał on, by się trzymano starych metod uczenia. Chłopi, a Krüger mianowicie, chcieli, by ich potomków uczono więcéj czegoś nad katechizm. Przyjaciel nasz Jung Stilling, który z taką roskoszą Homera czytał, nie był biegłym w dyplomatyce, w trudném znalazł się położeniu między pastorem a chłopami. Pewnego dnia, Stolbein do szkołki wkroczył i nielitościwie zabrał wszystkie łupkowe ćwiartki, na których dzieci poczęły były swoje arytmetyczne ćwiczenia. Chłopi przysięgli, że ich pastor duszę djabłu zapisał; bunt by się zawziął w najlepsze, gdyby krawiec Wilhelm, postrzegłszy opłakane położenie swojego syna, nie był go do domu odebrał. Henryk nieszczęśliwym był bardzo, jego krawiecka igiełka ciężyła mu nieznośnie. Familija jednego bogatego ziemianina ofiarowała

mu miejsce nauczyciela, przy kilku małych dzieciach; Steifman (takie było miano ojca familii) był to wieśniak bogaty, posiadacz obszernych ziem i licznych stadnin, ale ciasnéj duszy i myśli. Oyciec na Stilling'a nie zważał; dzieci przedrwiwały sobie z jego delikatności i wczesnéj jego erudycyi; porzucił ich więc z radością; został nauczycielem szkołki w Lindarf, potém w Prejsingen, i wystawił się na przygany swoich starszych: ,,że nie święte i nie swieckie książki czytał, miasto doglądania dzieci."

Przyszły radzca nadworny opowiada wszystkie przygody z naiwnością, którąby za pychę wziąć można. Powierzchowność jego spokojna i słodka, życie umiarkowane i siedzące, jednały mu wiele przyjaciół. W Prejsingen, wdowa Schmoll, która córki miała piękne, dała mu mieszkanie; Anna i Marija, obie mocno zajęły się młodzieńcem, a ich namiętność przybrała barwę zupełnie niemiecką. ,,Często, powiada on, kiedy księżyc snuł się powoli po błękitném niebie i przeszczelał się przez drzewa, wyprowadzałem

dziatwę, która na wzgórzu Prejsingen w przejmy sobie śpiéwała, drzewa cieniem swoim ich kryły, a doliny i wzgórza rozlegały się ich pieniem; kobiety i dzieci miasteczka wychodziły z domów swoich, siadały u drzwi i słuchały. Dom N. Schmoll był blizko ztamtąd; skoro tylko dziewczęta mnie usłyszały, biegły obie do swego pokoju, którego okna były otwarte, i tam ciemnością okryte rozczulonego nadstawiały ucha na śpiéwy dzieci i moje. Kiedy wracałem (wstęp mi był wszędzie wolny i P. Schmoll nie strzegła córek swoich), zostawałem Annę i Mariją milczące obie, łzami załane, ze spuszczonémi rękami. Często jedna lub druga biorąc mię za rękę mówiła mi: — „Jakże mi śpiéw twój miły." Druga siostra głębokiém odpowiadała westchnieniem, a ja, dla którego miłość i małżeństwo były synonymami, i co nie mogłem żenić się z jedną srogiego drugiéj nie zadając ciosu, odpowiadałem." — Moje kochane, zaśpiewajmy razem paciérz wieczorny, a wierzcie mi, że nigdzie nie śpiéwają lepiéj jak w niebie."
Niewiém, dodaje Stilling (zostawszy radzcą

stanu i światowym człowiekiem) czy to bozkie pocieszenie zdawało się im dostateczném, tego mi nie powiadały nigdy.

Jedna z dwóch siostr, Marja, dostała pomieszania zmysłów, to cierpienie przemijające ustało po dwóch miesiącach. — Stilling czuł się obowiązanym opuścić dom P. Schmoll i wrócił do swego ojca. — Wilhelm powtórnie się ożenił, a jego nowa żona, poczciwa, ale skąpa i mało czuła, nie raczyła nawet spojrzeć na młodego nauczyciela szkółki. — Ojciec gniewał się, widząc na twarzy syna ślady ciągłéj melancholii. — „To nie jest nam właściwa, mówił on; Stilling'owie nie bywali nigdy smutni bez przyczyny." — Na szczęście dano znowu Stilling'owi miejsce nauczyciela szkołki, które on przyjął. — Po dwu miesiącach konsystorz chciał go usunąć i na miejsce jego osadzić zięcia jednego z pastorów: owoż scena cale niemiecka godna zdaje się uwagi.

„Kiedym się dowiedział co mi zagrażało, niedochodząc winy jaką na mnie rzucano, poszedłem do małego kościołka i w dzwon u-

derzyłem.— Na to hasło, całe zbiegło się miasteczko i na łące przed kościołem się zgromadziło.— Rozpowiedziałem chłopóm co się święciło. Każdy wedle swego charakteru niechęć swoję wyrażał. Jedni byli smutni, drudzy rozdąsani; wszyscy zaś obstawali za mną. Niektórzy chcieli się zburzyć. Na czele tych ostatnich był młody Rehkopf, który nasuwając czapkę na ucho i wołając:—„Nie, djabeł nam nawet naszego bakałarza nie wydrze;„ poszedł do karczmy, ułożył prośbę do dozorcy prowincji, i kazał ją wnet podpisać więcéj niż stu swoim współbracióm. Wieczorem tegoż dnia Rehkopf, na czele dwudziestu chłopów, poszedł do Salen gdzie mieszkał dozorca, i nie zapukawszy do drzwi, ani się opowiedziawszy wszedł do sypialnego pokoju P. dozorcy Meinhold'a. To niespodziewane najście chłopów trzymających czapki swoje i kapelusze w ręku, a wprowadzonych przez Rehkopf'a niedobrego, zdziwiło mocno P. dozorcę, który zagłębiony w swojém wielkiém krześle, obwiniony w szlafrok z czerwonego adamaszku, i z przysłonioną czep-

cem głową, posilał się spokojnie szklanką czokolady.

—Przyjaciele, zawołał, stawiąc szklankę na stole, czego żądacie?

—Oto chcemy wiedzieć, odpowiedział Rehkopf, czy nauczyciel naszéj szkołki zabił kogo, otruł, czy okradł?

—Dla czego? i kto to powiada?

—Bo też jego tak traktujecie. Niech nam okażą że jest winien, sami go odeślem, jeźli zaś nic z tego nie uczynił, zatrzymamy go. Dozorca wyrwał prośbę z rąk Rehkopf'a, i przeczytawszy ją, gdy się zabierał do jéj podarcia: ,,Do pioruna, rzekł chłop, nie róbcie tego, bo ten papier was oparzy.,,

—Więc przychodzicie mi ubliżać w moim własnym domu?

—Jak się wam podoba.

—Ale, moje kochane dzieci, odrzekł dozorca, spuszczając z tonu, wy nie wiécie że ten chłopiec jest bardzo ladaco?

—Toż to jest właśnie o czém chcielibyśmy się przekonać.

—Prawiono mi o nim tyle rzeczy....

— Oh! prawiono! powiadają naprzykład, że P. dozorca był pijany na ostatnim jarmarku w Klecfold.

— Co?... co chcesz mówić?

— Cicho, cicho, bez hałasu. P. dozorca sądzi wedle tego jak ludzie mówią; ja tyleż sobie pozwalam.

— Ja ci pokażę!...

— Zaiste, nie macie mi nic do pokazania, bo ja to sam właśnie jestem, com pod wsią Grinvald was na konia wsadził, na którém z wielką trzymaliście się biedą. Zostawicie nam naszego bakałarza, oświadczam to wam imieniem całéj gminy.

W istocie bohater nasz kilka dni dłużéj posadę swoję dzierżył, ale usunąć się za rostropniejsze uznał; i mimo wstręt swój do krawieckiego rzemiosła; mężnie za warsztatem zasiadł znowu. Nic sobie nie był zarobił, nic nie zaszczędził. Niebezpieczny zawsze wpływ macochy poczynał duszę Wilhelma zatwardzać, roboty mu brakło i syn ciężarem mu się stawał.— O godzinie wtóréj z rana wstawał co dnia biedny Jung Stil-

ling i szedł wiać zboże, chociaż mu się ręce wrzodami pokryły i całém ciałem trząsł dreszcz gorączkowy. Za ubóstwem weszły w zacny i spokojny dom Stilling'ów niezgoda i swarliwość. Wilhelm, podniecany zapewne słowami macochy, przywykł na swojego syna patrzéć jako na próżniaka, który spożywał puściznę familii. Jednego wieczora Jung Stilling będąc w sąsiedniéj wiosce gdzie szukał sobie roboty, wracał do domu wesoły, ani myślał wcale żeby go tam burzliwa czekała scena. Ojciec zaś skoro go tylko dostrzegł, rzucił się nań i obalił na ziemię: ale Stilling któremu nie brak było siły, prędko się otrząsnął, i ściskając oburącz swego ojca, wlepiwszy weń niewzruszone i płonące oczy, ruszyć mu się nie dał.

„Jeźlim kiedykolwiek, powiada biograf, uczuł całą gorycz dotkliwéj boleści, to w owéj zapewne chwili. Milczeliśmy obadwaj, serce mi się rozdzierało, a wzrok mój zawsze na ojca utkwiony trzymałem. Probował mi się wydrzeć, ale naprożno; ramiona moje oplotły go żelaznym obręczem — „Ojcze mój, ojcze!

mówiłem mu słabym, przenikliwym jednak głosem, nie obrażaj mię, poważam cię, kocham, ale...„ Wówczas go puściłem, zbliżyłem się do okna i otworzyłem je, on stał osłupiały :—„Ojcze, cóżem ci złego uczynił?„ pytałem go najłagodniejszym głosem:„ — Ojciec mój, usuwając się w głąb izby, zalał się łzami i twarz utulił obiema rękoma. Nazajutrz rano złożyłem moje rzeczy i powiedziałem Wilhelmowi :—„Porzucam kraj, idę na wędrówkę krawiec robotnik; pozwól mi wyjść spokojnie. Płakałem szczérze.—„Nie, ty nie pójdziesz teraz„ płacząc odpowiedział ojciec. Nie mogłem bez wzruszenia słyszeć go mówiącego tym sposobem, i zostałem.

„Dobra moja babka, ślepa, odgadywała co się w domu działo, chociaż ciągle leżała w łóżku i nikt ją do tajemnicy nie przypuszczał. Kiedym się przy jéj łożu znalazł, wyciągnęła swoję rękę do mnie:—„Wiem coć się przytrafia, Henryku; z wielkim trudem ty na świat wyprowadzasz twoje przeznaczenie, jako matka swoje dziécię. Ty nie wiesz co im dziad twój powiadał nocną porą, kiedy

nie spał a myślał o tobie: Eberhard przewidywał wiele rzeczy— „Małgorzato, mawiał mi, chciałbym żyć, by wiedzieć co z tego dziécka będzie. Wilhelm, który jest zacnym człowiekiem i który zawsze uczciwym będzie, napotka jednak w życiu wiele trudności. On zechce powtórnie się ożenić; on się w groszu kocha; wiele rzeczy trwożyć i kłopocić go będzie; ale to dziécko, nie lubi ono ani zabiegów ani pieniędzy. Jemu książek trzeba. Chłop nie wié co z książkami robić. Nie wiém też jak on sobie pocznie; ale Henrykowi się powiedzie, jestem tego pewny. Kiedy siekierę sobie zrobię, ona drzewo swoje znajdzie i zrąbie, kiedy Bóg człowieka tworzy do jakiéj wyłącznéj rzeczy, on także na swe dzieło trafi."— Te słowa mojego dziada były mi wyrocznią, która z grobu, by z świątnicy wychodziła; nie raz w trudnych życia mego okolicznościach, zdawało się, że słyszę głos dziada mojego, mówiący: „Śmiało, Henryku! siekiera zawsze swoje drzewo znajdzie.„

Słowa dziadka dały Stilling'owi więcéj

wiary w przyszłość. Pracował on czas pewny u jakiegoś krawca z Norymbergu, którego córka, na imie Liseta, bardzo piękną była. Spiéwała ona jak aniół; umiała na pamięć gmnóztwo starych powieści, i przez całe godziny opowiadała je naszemu bohaterowi, który utrzymuje, że nie kochał ją miłością. Ale był on tak niemieckim, tak marzącym, tak poetycznym w swoich wyrażeniach, że istotnie stanowić o tém nie umiémy. Lizeta była piękna, czuła i z natury melancholiczna. Padła ofiarą, biedne dziecko, surowości kalwińskiéj swojego kraju. Miała ona skłonność do jednego młodego człowieka, od którego odbiérała listy. Wina jéj ta odkrytą została, a zwierzchność kościelna odmówiła jéj ślubu do pewnego zakreślonego czasu. Naturalnym wypadkiem oczekiwania na jakie skazano Lizettę było wydania na świat dziécka. Cenzura kościelna, która miała się w obowiązku oznajmić jéj słabość wsi całéj, nabawiła ją takim strachem, że sobie śmierć zadała. „Przeklęty niech będzie ten od Boga i ludzi, wyrzeka Stilling, co uzbrojony zwierzchnością Bo-

GA, na to jéj tylko używa, by przywieśdź jakie nieszczęśliwe dziecko do słabości, rospaczy i śmierci".

To zdarzenie, przytém nędza jaką był przygnieciony Stilling, zmusiły go porzucić dom ojca, i rozpocząć wędrówkę. W dzień Bożego Narodzenia 1762 r. złożył w jeden tłómok trzy podarte koszule, parę starych pończoch, cztéry rixtalery, nożyce i naparstek, nie wiedząc dobrze, gdzie pójdzie. Woźnice wskazali mu drogę do Schoenthun, toż w tamtę skierował się stronę. Nazajutrz w wieczór spoczął na murawie w obec gór Giller i Geisenberg, a te dawnéj czci jego przedmioty, łzy mu wycisnęły. Mało miał pieniędzy: dobrze jednak był wszędzie przyjęty. Opowiadał swoję historją, a chłopi mu mówili swoje. Wieczorem hymny śpiéwał. Stilling wtórował swoim nowym przyjaciołóm na jednym z tych turbanów z białego drzewa, dziś jeszcze nie rzadkich po gościńcach niemieckich. Nareszcie stanął w Schoenthun, u celu swojéj podróży. Niejaki krawiec Nagel przyjął go do siebie; Jung zgorszył się nie pomału wi-

dząc, że krawcy w Schoenthun nogi na krzyż zakładali przy robocie: pozycya ta jakiéj nie znano w jego rodzinnym domu, zdała mu się poniżającą. Wiodło mu się bardzo dobrze w domu Nagel'a; on to na czytelnika był wybrany. W poniedziałek rano grywał na organach, a cała wieś jego talentowi się dziwiła: w wieczór czytał zgromadzonéj familii życie Maurycego X. Nassau i historją Niederlandów. Szatan pychy zmieszał i przerwał to niewykwintne szczęście jakiego używał: wieczna z igłą i nożycami robota poczęła go utrudzać; przyjął stręczone mu wychowanie dwojga dzieci P. Hochberg, bogatego rękodzielnika.

Sądzicie go na drodze szczęścia?—jako żywo! on idzie bitym szlakiem przeciwnego losu. „Miałem na sobie, powiada on, stare pończochy z kręconego jedwabiu, wielki wieśniaczy kapelusz, skórzane spodnie, wytartą kamizelkę, i frak czarny niegdyś bardzo piękny. Proszę wyobrazić sobie, co się to dziać musiało z takim jak ja prostakiem wprowadzonym do wielkiego o trzech piętrach domu,

zamieszkanego przez familiją Hochberg? Dzieci w szkarłat z huzarska przybrane, zdawały się bydź małémi książątkami; gospodyni domu kryła się w głębi niebieskiego budoaru. Kiedy dzieciom kazano pocałować w rękę nowego nauczyciela, nie wiedziałem prawdziwie jakiemu polecać się świętemu. P. Hochberg zmierzywszy mię od stop do głowy, i po chwili milczenia: „Sługa Pański”, odezwał się do mnie po francuzku. Potrzeba mi było z minutę czasu, żeby mu odpowiedzieć: „Panie, wasz pokorny sługa”. Śliczny komplement na jakim się zawczasu przygotował. P. Hochberg przeszedłszy się dwa czy trzy razy po pokoju, i mierząc mię jeszcze jak wprzódy: — „Jeśli jesteście w postanowieniu zostać tutaj w stopniu nauczyciela, ofiaruję wam dwadzieścia pięć ryńskich”. Zdawało mi się to dość skąpo na tak bogatego pana; ale nie śmiałem i słowem jedném mu zaprzeczyć.

Owom wprowadzony między bogate rodzeństwo. Oswojonoby się zapewne z mojém obejściem się wieśniaczém, ale nigdy z gru-

bością mojéj odzieży. Napróżnom po dwie godziny przed zwierciadłem trawił, aby się nałożyć do witania i uśmiéchania się, jak owi tam panowie. Ale im mocniéj szargało się moje odzienie, tym mnie oni traktowali gorzéj. Nie przepomniano wszystkie przede mną zamykać szafki, jak gdybym na złodzieja kroił. Te, raz po raz powtarzane, obelgi, zmuszały mię trzymać się nieodstępnie dziecinnego pokoju, zaledwie mi zostawiano trochę czasu na poprawienie mojéj dziurawiącéj się odzieży; brakło mi pieniędzy na sprawienie innéj, a przed czasem o nic prosić nie chciałem. Tak kilka przeszło miesięcy. Pastor miejscowy użalił się nade mną, i dnia jednego rzecze mi: „Chodź do mnie na obiad". Przyjąłem zaproszenie; ton życzliwości, z jakiém do mnie mówił, wydał mi się tak nowym, i tyle na mnie uczynił wrażenia, żem prawie przez cały obiad płakał.

— Biedne dziécie, mówił mi poczciwy księżyna, odgaduję i pojmuję wszystkie twoje cierpienia; niech ci to Bóg policzy, mój kochany. Owóż tygiel z którego dusze ludzkie wy-

chodzą przedziwne i do wszystkiego zdolne. Bydź może, że ze wszystkich życia ludzkiego kolei, nie ma żadnéj coby na ostrzejsze człowieka wystawiała próby, ile twoja. Stan domowego rodziny jakiéj nauczyciela posiany jest mnóztwem upokorzeń. Położenie rzemieślnika znośniejsze jest. Ten żyje przynajmniéj między równémi sobie: nie przypisują mu pychy jakiéj istotnie nić ma; nie upokarzają jego miłości własnéj, bo w tém nikt interesu swojego nie widzi. Domowy nauczyciel jest tém nieszczęśliwszy, że położenie jego jest dwuznaczne i niepewne".

Zaiste biédny Stilling dał się przekonać. W połowie bowiem kwietnia nie wziąwszy grosza jednego z obiecanego mu jurgeltu, od téj rodziny bez serca, złożył swój mały tłómok, wyrzucił przez okno swój kapelusz i rzeczy, wyszedł z niegościnnego domu, wyrznął sobie kij z poblizkiéj zarośli, i dumny z odzyskanéj wolności, ale biédniejszy niż kiedykolwiek, puścił się na wolą Opatrzności. Szedł długo, aż stanął nareszcie w małém miasteczku Waldfeld. Nic nie jadł przez dzień

cały. Zaszedł do piérwszéj krawieckiéj kramki jaką napotkał, a tą szczęśliwym trafem przewodził P. Izaak, jego współrodak, poczciwy człowiek, który młodego Stilling'a wziął na swoję szczególną opiekę. Pokochamy odtąd krawieckie rzemiosło, dla którego mało mieliśmy przychylności. Nasz Izaak widząc smutny stan odzieży Stilling'a, otworzył wielką szafę, wyjął z niéj piękny czarny kapelusz, pączochy wełniane czarne, niebieskiego sukna frak, brunatnego na kamizelkę i spodnie; kazał zawołać szewca, polecił żonie sporządzić koszule dla Jung'a, i dał mu w rękę jednę z trzcin swoich. — „Tyś mię odział kiedym był nagi, powiada stary Stilling w swoich pamiętnikach; Izaaku! poczciwy Izaaku! Kiedy nam przyjdzie porachowania się chwila, dusza twoja pokaże się świetną, siedmkroć świetniejszą niżli wschodzące latem słońce".

Z domu krawca Izaaka, Jung Stilling udał się do Spanier'a, właściciela żelaznéj huty, który go za nauczyciela dla swoich dzieci przyjął, wyrozumiał jego charakter, uprzej-

mie się z nim obchodził i poradził oddadź się medycynie. Stary ksiądz katolicki, którego Stilling polubił bardzo, podał mu tęż samę radę, i udzielił swojego doświadczenia, jakiego nabył w professyi okulisty, którą przez długi czas się trudnił. Ksiądz ten tak dokładnie objaśnił Stilling'a, że młodzieniec wzywany przez sąsiadów Spanier'a, kilka ważnych uczynił praktyk. Bóg zdawał mu się tę drogę wskazywać i na tę prowadzić. Mówiono wiele o młodym okuliście, i pewien gatunek reputacii go zalecił.

Dnia jednego wezwano go do niejakiegoś P. Friedenberg mieszkającego w Rosenheim, którego syn zagrożony był oftalmiją. Cichość była w całym domu, oddychał on porządkiem, prostotą i dobrém mieniem. Był to gmach trzypiętrowy, zbudowany wśród pięknego ogrodu, a który właściciel obecny, kupiec niegdyś, kazał przed trzema laty postawić. — „Znalazłem tego uczciwego człowieka, wzór niemieckiego mieszczaństwa, wśród swoich dziesięciorga dzieci, wszystkich dobrze ubranych, wstydliwego i uprzejmego obli-

cza, i które nas przyjęły ze szczerością prawdziwie obowiązującą. Panował w tym domowstwie gatunek karności i czynności wdzięcznych dla oka. P. Friedenberg prosił mię na obiad, i w krótkim czasie stałem się domowym. Co niedziela szedłem dzień mój spędzić z tą zacną familiją. Starsza córka P. Friedenberg, mająca dwudziesty piérwszy rok życia, Krystyna na imie, chorą była. Podczas dwóch piérwszych tygodni mojéj z domem Friedenberg'ów w zażyłości, lekarze wszyscy jednozgodnie głosili, że stan jéj był niebezpieczny i życie niepewne. Nie miałem był jeszcze zręczności ją widzieć; ale wieczorem dnia tego, w którym trzymałem do chrztu nowonarodzonego syna mojego przyjaciela, rzecze mi on po wieczerzy, nakładając swoję wielką fajkę: —,,Czy nie zechcesz zobaczyć mojéj córki? stan jéj niespokojnym mię czyni; mam zaufanie w tobie, a jakkolwiek skromnym jesteś, więcéj się znasz na medycynie, jak wielu tu naszych pysznych lekarzy. Uprzedzam cię, że jest bojaźliwa, świata nie widziała nigdy. Jeźliby cię tedy nie przyjęła na-

leżycie, nie obrażaj się tém, to pobożne i dobre dziécię lubiło zawsze samotność i nabożeństwo."

Poszliśmy zatém na górę: Krystyna była w łóżku, bardzo słaba. Była ona przystojna, ale wyniszczona i cierpiącego oblicza. Cóżkolwiek ojciec mi jéj powiadał, nie przeraziła się mojém przybyciem; owszem uśmiéch przemknął po jéj twarzy, podała mi rękę i prosiła siedzieć. Rozprawialiśmy poufale, mówiąc szczególniéj o poezji i religji. Głos jéj był słodki, rozmowa przyjemna, a niekiedy iskra zapału ożywiała jéj wielkie błękitne oczy. Podległa częstym bezsennościóm potrzebowała nieraz towarzystwa którego ze swoich krewnych w nocy. Spędziwszy tak parę godzin na rozmowie przy niéj, już miałem odejść, kiedy ona rzekła do swego ojca:—,,Ojcze, czy pozwolisz żeby P. Stilling czuwał przy mnie?...

— Chętnie bardzo, jeźli to przykrém P. Stilling'owi nie będzie.

Przystałem na to z ochotą. Rad byłem szczérze ze sposobności okazania temu rodzeństwu

wdzięczności za daną mnie tak uprzejmą gościnę. Jeden z jéj braci został z nami przez pół godziny; poszedł potém rozkazać dać kawy, która mię w orzeźwieniu trzymać miała. Była już piérwsza z północy, powieki mi ciążyły, a nieprzerwana niczém cisza wśród któréj się znajdowałem do snu mię skłaniała. Usnąłem przez godzinę blizko, poźniéj lekki ruch choréj mię zbudził. Byliśmy sami. Obawiałem się by nie zasłabła, i uchyliłem nieco firanki.

„Czy usnęłaś trochę? zapytałem.

—Nie, odpowiedziała mi, marzyłam; coś bardzo ważnego przez myśl mi przebiegło. To pana się dotycze i powiém mu o tém poźniéj.

Nie wiém co za nagłe wzruszenie mnie tknęło; zachowałem milczenie. Głos téj młodéj choréj tak spokojny, tak niewinny i jak natchniony, był dla mnie głosem Boga. Uczucie szczególniejsze do łez mię przejęło i uchyliłem się nad jéj łóżko.

—Powiedz! oh powiedz miłe dziécię, jaka ci myśl przyszła? to będzie dla mnie objawieniem z Nieba.

—Czy tak myślisz? odrzekła mi siadając na łóżku i podając mi rękę?

Ucałowawszy tę z zapałem, rzekłem:—Będziemy z sobą złączeni na zawsze!

Ona odpowiedziała: „Na zawsze.” Tym czasem nadszedł brat przynosząc filiżankę kawy.

Zaręczyny Stilling'a, na które ojciec i matka zgodzili się chętnie, nastąpiły wkrótce po uzdrowieniu Krystyny. Friedenberg pokazał się najszlachetniejszym z ludzi i najzacniejszym z przyjaciół: uchwalono że narzeczony wsparty niejakim zasiłkiem pieniężnym uda się do uniwersytetu strasburgskiego skończyć nauki. Dzięki swoim świeżym nabytkom lekarskim Stilling uzbiérał nieco pieniędzy; ale owoc jego oszczędności był bardzo skromny, w dzień zaś jego odjazdu Friedenberg mu powiedział:

—Kochany mój chłopcze! mam wiele niespokojności z twojego powodu. Chciałbym ci dostarczyć wszystkich pieniędzy jakich potrzebować możesz. Z niczém prawie sam do roboty się wziąłem, i uzbiérałem tyle ile mi na

życie trzeba, ale nic nadto. Jeźlibym koszt twojéj nauki wziął na siebie, wkrótcebym się znalazł w kłopotach. Mam dziesięcioro dzieci, a cobym dla jednego z nich uczynił, trzebaby było uczynić i dla drugich.

„Jestem dobréj myśli, odpowiedział Stilling, Bóg mię nigdy nie opuścił w nieszczęściu. Bądź spokojny, wszystko pójdzie dobrze." I to zaufanie, przy zachowaniu się i oszczędności Stilling'a, utrzymywało go podczas podróży. Miał on słuszność wierzyć w szczególniejszą opiekę Opatrzności. O dwie mile od Strazburga, kiedy mu już nie wiele zostawało pieniędzy, napotkał kupca z swoich stron P. Leibman, który powieczerzawszy z nim w jednéj oberży, rzekł mu:

—Jakież masz sposoby utrzymania się przy uniwersytecie?

—Moję wytrwałość, pracę i Boga.

—Wieleż ci dopiéro zostaje pieniędzy?

—Jeden rixtaler na dnie mojéj kieski.

—No! toż jestem jednym z podskarbich Opatrzności, i ta mi poleciła cię opłacić. Oto jest trzydzieści trzy rixtalerów. Jeźli kiedy-

kolwiek będziesz bogatym, wrócisz mi je: w przeciwnym zaś razie o to się nie troszcz.

Leibman zapytał o nazwisko swojego młodego przyjaciela, zapisał je w swoim dzienniku, i od czasu do czasu ten podskarbi opatrzności nadsyłał swojemu protegowanemu pieniędzy. W Strazburgu również był szczęśliwym: wszyscy się młodym uczniem zajmowali. Zaprzyjaźnił się z wielu swoimi współtowarzyszami, którzy z czasem najsławniejszymi w Niemczech stali się ludźmi. Oto jak Goethe o Stilling'u wspomina w swoich pamiętnikach:

„W 1770 r. przybył do uniwersytetu młody chłopak, który mię bardzo zajął. Nosił się on po staroświecku, z włosami bez pudru i opięcia. Głos jego naturalnie łagodny, stawał się brzmiącym i mocnym, kiedy był wzruszony. Oblicze jego było przyjemne i postawa udatna, przy całéj swojéj nawet wiejszczyźnie. Odkryłem w nim umysł mocny, kierowany żywym zapałem ku wszystkiemu co jest dobrém, sprawiedliwém i pięknem. W prostocie jego życia, było wiele wydarzeń i wie-

le cierpień przeciw którym walczył z energiją; zasadą téj energii była ufność w Bogu, który go zawsze wspiérał opatrznym sposobem i wszyscyśmy mu podziwiali, bo nie wiedział nigdy z czego za miesiąc żyć będzie."

Obaczmyż dopiéro jakie wrażenie uczynił ten człowiek genijalny na młodym chłopcu:

,,Chirurg jeden, nazwiskiem Troost, powiada Stilling w swoich pamiętnikach, wprowadził mię do jednego gościnnego stołu studentów. Pewnego dnia wśród dwudziestu młodych ludzi wchodzących zarazem, zauważaliśmy jednego młodego, bardzo przystojnego chłopca, żywych i czarnych oczu, wysokiego czoła, żołnierskiego ujęcia i otwartego oblicza. Niepodobna było bydź obojętnym na tę piękną i szlachetną postać. P. Troost właśnie zwrócił moję na to uwagę, a ja mu rzekłem: ,,Tak, ale jeśli mam sądzić po ogniu jego spojrzeń i żywości jego ujęcia, nawiąże on węzłów wszystkim professorom strazburskim.,, Stałem się jego przyjacielem. Znałem dotąd przyrodę; on mi wyjaśnił sztukę, tę drugą przyrodę. Przenosiłem jednak

nad jego rozmowę, rozmowę mniéj oryginalną, mniéj świetną, ale więcéj religijną Herder'a. Nadzwyczajna śmiałość Goethe'go zastraszała mię niekiedy i przeszkadzała mi należycie o nim sądzić. Da się widzieć, jak dalecem błądził. Goethe zachęcił mię do pisania pamiętników mojéj młodości, a ukończywszy piérwszą część, złożyłem rękopism na jego ręce. W dni piętnaście potém około dziesiątéj zrana, wszedł faktor i oddał mi list bardzo gruby i ciężki, który śpiesznie rozpieczętowałem. Było w nim 115 rixtalerów i pismo Goethe'go oznajmujące, że piérwsza część mojego rękopismu była sprzedaną i że mi on wartość jego odsyłał."

W maju, otrzymał Stilling list od swojego teścia, zawiadamiający, że biédna Krystyna wpadła w chorobę. —,, Kochana twoja Krystyna chciałaby cię ujrzeć, pisał Friedenberg; co poczniesz? łzy mi płyną; podróż jest daleka; nie wiém jak sobie doradzim, żeby ci potrzebne przysłać pieniądze. Biédny przyjacielu! niech ci Pan Bóg dopomaga."

Goethe był obecnym podtenczas, kiedy Stilling list ten czytał; widział go płaczącym; a Stilling list mu ten pokazał — „Kochany Stilling!" zawołał Goethe. Poszedł potém się porozumieć z drugim studentem i obaj włożyli w tłomok młodego przyjaciela swego pieniądze jakie mu były potrzebne. Powrót Stilling'a był dla Krystyny hasłem radości i zdrowia. Połączono ich. Kiedy Jung do Strazburga wrócił, Goethe był piérwszą osobą którą poszedł odwiedzić. Zacny poeta wybiegł, rzucił mu się na szyję, ucałował:

— A twoja narzeczona Stilling'u?

— Moja narzeczona już nie istnieje; jest moją żoną.

„Resztę wieczora poświęciliśmy, powiada Stilling, najserdeczniejszéj i najsłodszéj rozmowie. Był tam Herder, Goethe i ten nieszczęśliwy Lenz, człowiek genialny, który umarł warjatem na publicznéj drodze."

Kiedy Stilling miał stopień doktora otrzymać, pisał do swojego teścia; dyplomat kosztował bardzo drogo; a pomimo oszczędności Stilling'a, pieniędzy mu jeszcze bra-

kło. Teść nie wiedział zkąd téj summy dostać. U obiadu, kiedy wszystkie dzieci koło stołu zgromadzone siedziały, Friedenberg im rzekł: „Dzieci! szwagier wasz potrzebuje tyle a tyle pieniędzy na uzyskanie swoich dyplomatów. Co na to mówicie? czybyście mu je posłały, gdybyście je miały?„ Wszystkie dzieci odpowiedziały jednogłośnie: „Posłałybyśmy, posłałybyśmy, gdyby nawet nam przyszło pozastawować wszystko co do nas należy." Rodzice do łez wzruszeni byli, a Stilling examina swoje złożył należycie i zaszczytnie. Zwrócił się do Rosenhejmu i w jednéj gospodzie kolonii zastał Friedenberg'a, Krystynę i swoich dwu szwagrów, którzy nań czekali. Krystyna głowę na stole oparłszy rzewnie płakała. —„Czego płaczesz? pytał ją Stilling. —„Oh! bo nie czuję się zdolną podziękować Bogu za tyle szczęścia."

Przygody młodego Stilling'a przenoszą, mojém zdaniem, patetyczną naiwnością, głębokością, wdziękiem, prawdą, wszystkie najsławniejsze romanse Augusta Lafontena. Zmyślenie blakuje przed obliczem téj praw-

dy tak pełnéj czucia. Owoż obyczaje istotne tych poziomych i prostych ludzi, tych chłopów, tych węglarzy, tych drwalów, którzy nie wiele wiedzą, ale którzy wiele mają światła i najczyściejszego ze wszystkich, bo światła duszy. Życie Stilling'a professora, lekarza, człowieka uczonego, już do nas nie należy; dość nam na tém, żeśmy przypomnieli życie czyste i tak wyniosłe ubogiego syna krawca, wzgardzonego bakałarza, studenta strazburskiego.

(*Tait's Magazine.*)

ROZMAITOŚCI.

ARABOWIE I KONIE ARABSKIE. (1)

I.

Arabowie, jest to naród kowczowniczy, plemionami czyli hordami społeczny, i témi przenoszący się z miejsca na miejsce po pustyniach Arabii skalistéj, pustéj i szczęśliwéj.

(1) Umieszczone tu wiadomości wyciągnięte są z opisów Pana Desportes i Damoiso, którzy umyślnie w tym celu z Francii wyprawieni, odbyli podróż po Syryi, Egipcie i Arabii, ze znajomością tamecznego języka i z dosłównego tłumaczenia z rękopismu w języku arabskim przez P. Desportes przywiezionego, a przez dragomana J. B. Bodin wytłumaczonego. — Artykułu niniejszego udzielił nam Adam Hr. Chreptowicz.

(R.)

Przybycie hordy do jednego punktu pustyni, jest zarówno ciekawym obrazem, jakiby kto mógł sobie wystawić. Spostrzega się naprzód kilku jeźdzców uzbrojonych długiémi pikami, na klaczach obiegających miejsce z lekkością zefiru. Każdy w galopie oznacza zakres obozu, jaki ma bydź zajęty i upatruje podług swojéj woli miejsce, gdzie jego jurta ma bydź postawiona. Skoro ten zakres miejsca zostanie obrany, jezdziec wbija pikę mocno w ziemię i przywiązuje do téjże swojego rumaka, i dalsi Arabowie z hordy, robią toż samo; niektórzy przyjeżdżają konno, a najwięcéj przybywa ich na wielbłądach; wkrótce dostrzega się groźne wojsko, zdala nadciągające w nieporządku, przyskakujące z największą szybkością, a to są arabskie familje i najpiérwsze osoby plemienia z wielbłądami, na których są jurty i wszystkie bagaże, inne pociągowe bydlęta przynoszą na sobie kobiety, dzieci, sprzęty gospodarskie, a tłum niezliczony pieszych przychodzi za témi.

Wielblądy przeznaczone do przenoszenia rodzin, w różnym sposobie bywają przystrajane stosownie do stopnia i dostatków ich właścicieli, do których należą. Wielbląd szeika którego widziałem, był bogato przystrojony, miał na grzbiecie rodzaj palankinu podobnego do bacika leżącego w podłuż bydlęcia, którego przód był otwarty dla kierowania wielblądem. Ten rodzaj kufra zawiérał w sobie pięć czy sześć kobiét i tyleż dzieci nagich jak matka rodziła; każda familija mie-

ściła się koło piki swego naczelnika, i tak w krótkim czasie postrzega się wznoszące się miasto jakby cudem jakim; dzieci z kufrów wyskakują jak wróble z gniazda, zaczynają po równinie biegać, albo lazą do wody jeśli się ta blizko znajduje, uszczęśliwieni z tego nowego pobytu. Żadna symetrya ani porządek nie są zachowane w rozporządzeniu tego obozu; tylko namioty szejka, czyli głowy plemienia, zawsze się mieszczą w samym śrzodku obozu; te namioty nie różnią się od innych ze skór wielbłądzich lub koźlich, pomalowanych ciemną farbą. Są kształtu podłużnego rozciągnięte dwóma kołami drewnianémi wysokości trzech łokci, wbitemi zewnętrznie; wnętrza jurty na dwie części są rozdzielone rodzajem kobierca z wielbłądziéj szerści zrobionego, albo bogatą jaką tkaniną. Jedna połowa jurty służy dla kobiét, druga dla mężczyzn, i tam się przyjmują ludzie obcy. Sprzęt oprócz kobierca składa się z mat splecionych z trzciny, które służą za łóżka do spoczynku; uboższe familije śpią na gołéj ziemi nakrywając się łachmanami. Sprzęty kuchenne są: garnek żelazny, wielka patelnia żelazna, albo misa drewniana; kubek cynowy albo drewniany, z którego wszyscy piją koleją, wielka kobza z wielbłądziéj skóry na wodę, inne mniejsze z koźléj skóry, a w końcu naczynie do gotowania kawy i maleńka filiżanka nigdy nieopłókana do użycia całéj familii. Ubiór Arabów jest tak prosty jak ich sprzęty: mężczyźni noszą długą i sze-

roką koszulę, którėj nie zdejmują z ciała aż niemal się popada, jednak na noc się rozbiérają i śpią nadzy, przykrywając się mechlasem, (gatunek tkanki z grubéj wełny), w końcu nie noszą obuwia i bosémi chodzą nogami. Arabowie *Amases* zwani, noszą dwie długie plecionki z włosów, które im z obu stron twarzy zwisają. Żólta chustka jedwabna, zielona albo czerwona, z długiémi frenzlami na około, tegoż samego koloru osłania im głowę. Związują tę chustkę tak, aby mieć trzy końce wolne, dwa końce na każdym uchu zwisają, a trzeci spada na karku. Oprócz tego dziwacznego stroju obwijają czoło gatunkiem wałka wełnianego w kształcie zawoju, pas skórzany, przy którym wisi długi puginał, oto jest całkowity ich ubiór. Nigdy nie oddalają się od jurty swojéj nie będąc zupełnie uzbrojeni. Pałka z drzewa lub żelaza, szabla mizerna, fuzya i pika są ich orężem. Niektórzy uzbrajają się siekierą, kosturem, słowem narzędziem zabójczém, stosownie do możności. Kobiéty są odziane długą tuniką z płótna lnianego koloru niebieskiego, kwef czarny, ściągniony niżéj nosa pokrywa ich głowę, długi po kostki; uchylają często téj zasłony, dla pokazania wielkiego kółka wiszącego na prawéj części nosa z małym łańcuźkiem przy skroniach przyczepionym; pozwalają czasem także widzieć wargi niebiesko ufarbowane, jako też dla popisania się z mnogiémi figurkami, które się znajdują na brodzie, policzkach i karku; kiedy wychodzą

z jurt swoich głowę mechlasem pokrywają. Wzrost ich daleko jest większy niż kobiét zwyczajnie, ich ruch jest zgrabny i pełny wspaniałości, wielkie czarne oczy są powszechnie bardzo piękne, i jeszcze większémi się zdają przez skutek czernidła jakiém sobie brwi namaszczają. Nos jest składu kształtnego, ale reszta twarzy niegodziwie popsuta przez dzikie rysy na niéj pokréślone. Kobiéty arabskie pospolicie mają piękne ramiona, nogi także są kształtne choć trochę za szérokie, z powodu, że żadne obuwie nigdy ich w przyzwoitym obrębie nie zachowało.

Dzieci płci obojéj chodzą zawsze nagie aż do wieku młodzieńczego, chłopcy noszą tylko pasek rzemienny na biodrach, który je ściska tak, że są osóm podobne. Pytałem się o powód tego zwyczaju, upewniano mię, że wzmacnia dzieci, czyni je lżejszémi do biegu i mniéj potrzebującémi pożywienia; dojrzali nawet mężczyzni noszą te paski całe życie. Także dzieci Arabów są powszechnie pięknego składu i ładne: nie widziałem ani jednego, któreby miało jakąkolwiek ułomność. Są silne, mężne, widzieć można jak dzień cały tarzają się w piasku, w największy upał słońca bez nakrycia głowy, od czego najmniéj nie cierpią. Wprawiają się także walczyć kopią i do bitew mocném uderzeniem nogi, którą też umieją z wielką zręcznością bronić się z wielką zgrabnością i szybkością odwracając się tyłem, i tegoż tyłu mocném uderzeniem uczą się wywrócić przeciwnika.

Kobiéty zatrudniają się kuchnią i gospodarstwem, przędzeniem i tkaniem wyrobów potrzebnych do przyodziania familij; kuchnia nie wiele ich zatrudnia, bo lubo ten lud jest bardzo żarłoczny, kiedy znajdują zręczność dogodzenia w tém swojéj chęci, jednak żywią się pospolicie bardzo skromnie. Zasadą ich narodowego pokarmu nazywa się potrawa *pilau*, która się składa z ryżu niedogotowanego, przyprawionego roztopioném masłem. Możniejsi podług sposobności, przy téj potrawie jedzą kwaśne mléko, daktyle, miód patokę, i t. d. Kobiéty także powinny dopełniać przykrego obowiązku mełcia mąki młynkami ręcznémi, bardzo niezgrabnémi i ciężkiémi, albo tłuczkami ziarna rozbijają w kamiennych stępach. Chleb jaki robią z téj mąki piecze się na żelaznéj blasze i podobny jest do przaśnika. Jeszcze jest powinnością kobiét, przynosić wodę do potrzeb domowych, po którą częstokroć bardzo daleko chodzić muszą; w końcu, pranie bielizny nie bardzo je wiele zatrudnić może, bo wątpię żeby ich bielizna była kiedy prana; gdyż takowa jako i dalsze odzienia arabskie zapełnione są brudem i plugawstwem, co jest niezaprzeczonym dowodem najobrzydliwszego nieochędóztwa.

Arabowie wiele mają przesądów i w tym względzie odznaczają się bardzo od Osmanlisów, wielu z nich jednak zachowują Ramasan. Pospolicie do modlitwy wspólnie siadają w jeden rząd, naczelnik familij na przodzie, który głośno wymawia modlitwę. Bogactwo

Arabów odznacza się w wielbłądach i koniach, krów nie mają; małe mają stadka owiec i kóz, które im dostarczają nabiału i masła potrzebnego do ich żywności; używają też mléka wielbłądziego; ilość wielbłądów jest u nich niezmierna, każdy utrzymuje dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści sztuk mniéj więcéj. Szeik Donechi ma ich więcéj trzechset, wyprzedają ich co rok niezmierną liczbę Turkomanóm, a gdym był w ich obozie, mówi Pan Desportes do 2,000 tych zwierząt było przedanych w cenie od 200 do 500 piastrów za sztukę.

Powrót trzody wieczorem do obozu jest dla Europejczyka przedziwném widowiskiem, 5 do 6 tysięcy wielbłądów z ich drobnémi dziećmi igrających na pylnéj równinie, a te zwierzęta u nas tak poważne i smutne, wybrykując wesoluchno tak jak sarneczki, szczególniejszy sprawują widok. Z trudnością może sobie wystawić ten obraz, kto go w naturze sam nie oglądał. A w końcu trzeba jakiś czas pomieszkać wpośród arabskiego obozu, żeby bydź w stanie z pewnością pisać coś o tym koczewniczym narodzie: najwięcéj z podróżujących opisuje, widząc ich tylko zdaleka, wielu dali opisania wcale niestosowne; i próżno szukać w tych autorach wiernego wyobrażenia zwyczajów i obyczajów tego ludu; bo żaden nie zdobył się na odwagę pożyć między Arabami, którzy są prawdziwie mili, grzeczni i gościnni dla cudzoziemców, ale tylko zdaleka.

II.

PLEMIONA ROZMAITE ALBO POKOLENIA HORD ARABSKICH.

1. *Pokolenie Onald-Ali.* — ***Douhhy-ebn-Smer*** albo ***El-Tayar*** książę tego pokolenia ma reputacyją dobrego człowieka; lecz bardzo jest skąpy. To pokolenie jest sławne z pięknego rodu koni, latem obozuje, a jeden dzień tylko drogi do Damaszku w dystrykcie *Sana Maina*, a w zimie w dystrykcie *Żergxhonel-Balga* o 14 mil drogi od tegoż samego miasta; ci Arabowie mają szczególniejszy obowiązek eskortowania pielgrzymów, którzy się udają z Damaszku do Mekki.

2. *Pokolenie El-ronda.* — ***El-daya-ai-ebn-Chewan*** naczelnik téj hordy, ich konie tego samego rodu co i poprzedzającego latem obozuje w Syryi i Palestynie od *Dantal* aż do *Horan*, zimą na pustyni w dyrekcyi *Bagdadu*, *Bassory* i *Mezopotamii*.

3. *Pokolenie El-Mentifeeth.* — ***Faares-el-Jarba*** jest naczelnikiem; książę szlachetny, wspaniały i gościnny, ten sam ród koni: to pokolenie nigdy nie wchodzi do Syryi, zawsze przemieszkiwa między *Tygrem* i *Eufratem*, czasem przybliża się tylko do *Bagdadu* w odległości 15 dni podróży, ale rzadko kiedy posuwa się dalej ku *Mezopotamii*.

4. *Pokolenie El-Sonalmi.* — ***Avnard-ebn-yendal.*** Ten książę jest trochę skąpy: ten sam ród koni. Arabowie tego pokolenia są uważa-

ni za najlepszych jezdców tego stepu, jest w pokrewieństwie ten książę z pokoleniem *Ronela*, często z nim razem podróżuje i obozuje w Syryi tak jak często i w stepie.

5. *Pokolenie Rani Sahbar.*—*Mattak* książę dobry i wspaniały: ten sam ród koni, to pokolenie w *Palestynie* między *Jaffą*, *Ramzą*, *Gazą* i *Jerozolimą* aż ku morzu czarnemu i Arabii szczęśliwéj, obozuje.

6. *Pokolenie Serdee.* Te dwa pokolenia są spokrewnione z następném, razem podróżują i obozują przy granicach paszalików: *Damaszku* i *Akry*.

7. *Pokolenie El-monaige.*—*Barchas-ebn-Hedib* jest to młody i przystojny książę pełen grzeczności i wspaniałości: ten sam ród koni; to pokolenie latem obozuje w blizkości poprzedniego, zimą zaś wynosi się w tę część stepu, jaki się rozciąga od *Palmiry* ku *Bagdadowi*, jeśli zaś pasza nie jest w *Syryi*, zostaje się w letniém stanowisku przez cały rok.

8. *Pokolenie El-Hharasa.*— *Aonard* naczelnik. To pokolenie posiada najpiękniejszy ród koni z całéj Arabii. Obozuje pospolicie na stepach Arabii pustéj, w dystrykcie *Nedgied* czasem, ale rzadko przybliża się do *Bagdadu*, hołdowniczy *Wehabitom*, czynnie przykłada się do ich wojen. Bardzo jest trudno, jeśli nie powiem, niepodobna dla Europejczyka dostać się do jego obozu, tylko niedostatek karmu zmusza to pokolenie przybliżać się do *Bagdadu*, co, jak powiedziałem, rzadko się kiedy przydarza.

9. *Pokolenie Foedam.* To pokolenie ma za naczelnika książęcia *Douhy.* Książę chciwy, chytry, bez żadnego uczucia szlachetnego albo delikatności: to pokolenie posiada najlepszy i najszlachetniejszy ród koni pod względem dzielności nad wszystkiemi rodami Syryjskiemi, latem to pokolenie przemieszkiwa w okolicach *Alepu,* na zimę wynosi... (nie mogłem wyczytać wyrazu pokolenia). *Sahbah* i *Adaal* są mu sprzymierzone i obozują w sąsiedztwie. Są zawsze wszyscy trzej razem zajęci wojną z innémi pokoleniami. Te są plemiona albo pokolenia arabskie najszlachetniejsze i najznaczniejsze, w których znaleźć można konie najszlachetniejszego rodu.— Jest ich jeszcze z 50 pokoleń innych, ale te wszystkie tak obozują w środkach stepów i pustyń, że jest rzadkiém zdarzeniem, żeby można było do nich dojechać.

Rozmaite pokolenia mieszkają w pustyniach Syryjskich, począwszy od *Bagdadu* do morza czarnego, te są bardzo liczne, po większéj części ulegają *Anazom,* zwłaszcza następnym *El-Foedseb, Saan* i *Ebn-Haddal,* te trzy są połączone związkiem z pokoleniem *Chamar,* a dalsze są *El-gelas, El-Sagch, El-Abbo, El-Foedaya, El-gedera, Zoubei, Zegritt, Assolam, El-gixcham, Reix, Rusih, Sedam, El-Agratt, Bantemim* i t. d. Liczą więcéj nad sto pokoleń w obwodzie Syryjskim.

Obraz bibliograficzno-historyczny literatury w Polsce i t. d. (1) tom pierwszy, sposzyt drugi i t. d. od stronicy 89 do 210 *inclusive*.

(Do tego sposzytu przyłączona rycina wyobraża: *Wycisk obustronny na oprawie zbioru klassyków starożytnych króla polskiego Zygmunta Augusta.*)

Zawiéra się tu: dokończenie spisu książek należących do oddziału *filologii starożytnéj* (I. *Nauka języków*), tudzież opisane są dzieła mające za przedmiot. II. *Starożytności* (od 147 do 895 numerów *inclusive*); *Dodatek*, w którym opisane są: jedno dzieło *do historyi literatury*, dwa *do literatury greckiéj*, jedno *do literatury rzymskiéj*, jedno *do filologii starożytnéj*, (od 816 do 900 n. *inclusive*). Istotną część sposzytu tego składają Noty do książek piérwéj bibliograficznie opisanych, po większéj części z rękopismów *Ludwika* Sobolewskiego. Szacowny skarbiec interesujących i ciekawych wiadomości! Ważny materyał do historyi krytycznéj nauk w Polsce! — Przy końcu są umieszczone Dopełnienia i sprostowania w których się opisanie czternastu jeszcze książek zawiéra, tudzież not kilkanaście (od str. 200 i nast.) Za *epilog*, nie jako, ukończonéj części Obrazu bibliograficznego mającéj za przedmiot *Li-*

---

(1) Obacz Wizer. Tomik poprzedzający (6) str. 125 i nast., gdzie jest zupełny tytuł tego dziełka.

teraturę i filologią starożytną, służy krótkie lecz prawdziwie wymowne wystawienie przymiotów Professora Grodka, jako człowieka, uczonego literata, filozofa i niezrównanego nauczyciela:

„Nie możemy rozstać się z tą częścią, by nie wspomnieć raz jeszcze o niezapomnianym nigdy dla Wilna Grodku i kilka względów tu o nim nie przytoczyć, któreby zapału jego i przywiązania do nauki, oraz przymiotów iego duszy, rys jakiś chociaż lekki dać mogły. Zalety jego nauczycielskie były rzadkie, siła ku zachęceniu i pociągnieniu do nauk starożytności, rzec można, czarująca, prelekcje jego nie były tylko nauką filologji starożytnej, ale prawdziwą filozofją życia: dotykał w nich nieraz najczulszej młodzieńca strony, umiał go podnieść we własnych jego oczach, oderwać od chęci nikczemnej zysków, by go tém bardziej do nauk najzacniejszych przywiązać i zapalić ogniem niewidzialnym. Trzeba go było słyszeć, kiedy, przy lada podanej sposobności, zagłębiony w swém krześle, naukę starożytności, wielkich jej ludzi, charakter czasów, potęgę sztuki zalecał, każde jego słowo, lubo z piersi niezbyt mocnych, było donośne, cichość bowiem panowała w sali niezachwiana, a kiedy głos ten jeszcze bardziej osłabiał, to dla dania miejsca rozrzewnieniu, któremu i sam i słuchacze dłużéj podołać nie mogli. Trzeba było go słyszeć, kiedy starzec po chorobie, często bowiem zapadał na zdrowiu, powracał do zatrudnień i na pierwszej

prelekcji miał przemówkę powitania do uczniów: ktoby był wtenczas niewiém, coby z nim razem łzy szlachetnej nie uronił i przejęty czcią dla mistrza w jego ślady wstępować nie zapragnął? Wspomnienie życia i czasów starożytnych, ma bez wątpienia coś uroczego, niewypowiedzianego w sobie: są chwile mianowicie przy czytaniu poetów greckich, Homera, Pindara, Teokryta, przy każdém wejrzeniu na przedmioty sztuki dawnej, w których człowiek nie umié zdać sobie sprawy z tego co czuje, a uczucia jego są błogie, roskoszne, tak jak błogie są i roskoszne uczucia i fantazje starożytnych. Tę poezją życia w wysokim stopniu posiadał Groddeck, tém wyższy nad innych, iż umiał jej życie przelać w uczniów swoich. Jakoż rzeczywiście poezja i sztuki piękne były mu w całém życiu ulubione: źle go znał kto go tylko jako hellenistę uważał, kto w nim nic więcej nie widział jak zaciekłego w nauce starożytnych, i oprócz nich nic nieumiejącego cenić. Był to człowiek z widzeniem ogólniejszém, z uczuciem estetyczném naywyższém, sercem zdolném podnosić się i godnie oceniać wzory nieocenione sztuki bądź dawnej bądź nowej, a żywość ta uczuć do ostatniej chwili go nie opuszczała i dzieliła wszystkie przygody jego życia. W roku 1826 wykładał Groddeck Pindara, i łamał się z trudnościami, które wykład poety tego, co wiérsz, co słowo przedstawia; liczba słuchaczów jego znacznie była uszczuplona, najlepsi najulubieńsi uczenio-

wie jego oddalili się byli z Wilna, od tego czasu Groddeck był posępny i utratą tą zasmucony, twarz jego była zmieniona, mimo to jednak wykład na precyzji i żywości nic nie utracił, a wysokie poezje i pełne blasku tego wieszcza, były dlań polem, na którém zda się rozrywki i roztargnienia dla duszy swej szukał. Było to pono 22 Grudnia r. 1826. Czytał Groddeck Nemejską IV. Zmyka się jednemu ze słuchaczów kartka rozszytego Pindara, spada i dziwnym przypadkiem niknie w wąziuchnej szczelinie ławki. Skwapliwe pióro wydołać w notowaniu głosowi żywemu mistrza niechętnie ustaje. Co począć, jak nagrodzić stratę i dosnuć wątek przerwany? Ale ta obawa wnet ustępuje drugiej, że to jest jakaś zła zapowiednia, że ta kartka i przydatna już może więcej nie będzie!.... Tak się stało: wyjechał Groddeck na ferje Bożego Narodzenia do córki swej Łaskiej i już więcej stamtąd nie wrócił, a śpiew potężny głosiciela bohaterów Olympji i Nemei, nie ozwał się już odtąd w Wilnie!— Cóż mówić o przywiązaniu Grodka do uczniów, ile go ich los obchodził, niepowodzenia bolały. Ale też i on powodu nie miał zażalenia na nich, uszanowanie i miłość ich otaczała go wszędzie, a postępy codzienne, pracóm jego i usiłowaniom zawsze bodźca przydawały nowego. W roku 1821 staraniem i nakładem swoim wyryli na miedzi wyobrażenie jego z obrazu z natury robionego przez Rustema, rylca Podolińskiego, z napisem: *Imaginem hanc Vi-*

ri Doctissimi studiorum indefessi Moderatoris optimeque de se meriti Iuventus Academica grati animi et amoris declarandi ergo aeri incidendam curavit. — Do zasług jego szczególnych, wszystkie bowiem wyliczyć trudno, przydać można zaprowadzenie do Wilna języka łacińskiego, rzec można nowego, mianowicie do pism czasowych publicznych Uniwersytetu, Indexów prelekcyj, patentów akademickich, listów, napisów i t. d. Znikły odtąd dzikie dawniejsze wyrażenia: *Dominus, Vestra Dominatio, Societatis Membrum, datur facultas* i t. p. Wszystkie te pisma zaleca pewien rodzaj poloru i godności mowy dawnej rzymskiej, a co je przed wszystkiém szacownémi czyni, to zręczne nakłonienie dawnej mowy do zwyczajów i miejscowości czasowéj.

,,Niemożna też przemilczeć mówiąc o pracach Grodka około numizmatyki, odkrycia, jednego nader rzadkiego i niewydanego (*inediti*), numizmatu z czasów Supery żony jak mniemają jedni Imperatora Rzymskiego Treboniana Galla, drudzy Emiljana, inni znowu Valerjana młodszego. Opis w rękopismach swoich zostawił następujący:

Ant. *Caput muliebre in luna crescente.* GNE. CORNELIA.SVP. AVG.
Post. *Mulier stans, dextra pateram, sinistra ollam tenens.* PIETAS AVGVSTA. — Arg.

,,Wiadomość tym ważniejsza dla numizma-

tografów, że i *Eckhel*, i *Rasche* i poźniejsi, w opisanych na wiarę drugich numizmatach Supery, nazwisko jej niepewnie podają.

„Do zasług jeszcze jego należy, iż on piérwszy Bibljotekę Uniwersytetu Wileńskiego wzbogacił w dzieła ważne do całego okresu starożytności odnoszące się. Co tylko w wieku tym i końcu poprzedzającego, Włochy, Francja, Belgje, i Niemcy celniejszego wydały, to wszystko zgromadzić w jedno usiłował. Oprócz ogromnego *Thesauri Antiqq. Roman. et Graec.* Gronowjusza i Grewjusza, w dzieła ją kosztowne do historji sztuki u dawnych opatrzył, jako to: *Le Pitture Antiche d'Ercolano*; *Inghirami*, *Monumenti Etruschi*; *Antiquités Etrusques Grecques et Romaines gravées par F. A. David*; *Iliadis Fragmenta et Picturae, edente Ang. Maio*; *Monumens antiques du Musée Napoléon*; Flaxmana, Iljada, Odyssea i Aeschylus; *Millin*, *Monumens antiques*; *Monumens sépulcraux de la Toscane déssinés par Gorini*; *Quatremère de Quincy*, *le Jupiter Olympien*; *Tischbein*, *Figures d'Homère* i t. d. Sarkali nań za tę jakoby stronność dla nauk starożytnych, ci którzy prawdziwego o ich wpływie i znaczeniu pojęcia nie mieli. Czyliż to np., co ze starożytnych pisarzów, dla poezyi, wymowy i sztuk, dla dziejów, źrzódeł i pomocy do ich poszukiwania, dla nauk matematycznych lub przyrodzonych, staraniem swojém Bibljotece wyjednał, stracone dla nauk w ogólności było? Sarkania te były tém nie-

słuszniejsze, że i inne oddziały Bibljoteki nie mało się zapomagały, a jeśli i mniej, to przypisać można raczej mniejszej czynności tych, których to najbliżej obchodzić było powinno. Wreście gdyby i tak było, któżby zamiłowania tego dziś nie wybaczył człowiekowi, który i przedmiót swój znał tak gruntownie, tyle dlań szczerego zamiłowania w całym zawodzie nauczycielskim okazał, i tak pożytecznie na korzyść drugich wyrabiał?"

Pewni jesteśmy, że czytelnicy nasi, zwłaszcza uczniowie Grodka, wdzięczni nam będą za powtórzenie tych kartek, godnych zaiste! żeby je złotémi wypisać głoskami.

WYJĄTKI

Z POEMATU ALEXANDRA PUSZKINA: CYGANI (1).

II.

ZEMFIRA.

Luby mój, wyznaj, czyliż ci nie nudno
Żeś rzucił wszystko, coś ukochał wprzódy?

ALEKO.

I cóżem rzucił?

---

(1) Obacz Wizerunk. Poczet nowy drugi, T. IV, str. 149 i nast.

ZEMFIRA.

Odgadnąć nie trudno:
Ojczyznę, ludzi i wspaniałe grody.

ALEKO.

Tęsknić?... żałować..? O gdybym choć zlekka
Mógł tobie skréślić, jaka to niewola
Ugniata w miastach każdego człowieka!
Tam ludzie w ciasne powtłaczani mury,
Brudne wyziewy pijąc bezustanku,
Nie znają co to słyszeć głos natury,
Odetchnąć wonią kwiecistego pola,
Powitać słońce jeszcze na zaranku!
Wstydzą się kochać, myśl gonią na strony,
Przedają siebie,— byle zysk gotowy,
Korne bałwanóm przynoszą pokłony,
Żebrząc o złoto, razem i okowy.
I cóżem rzucił?— Zdrad piekielne sztuki,
Przesądne zdania swym głuszące wrzaskiem,
Głosy urągań czerni bez nauki,
Lub hańbę— chwały oświetloną blaskiem!

ZEMFIRA.

Lecz tam pałaców ciągną się gromady,
Tam są kobierce w złotem tkane wzory,
Tam i uciechy i huczne biesiady,
Tam takie dziewic bogate ubiory!

ALEKO.

Czémże są szały pjanego narodu?
Nigdy tam radość szczera nie pogości
Gdzie czucia zmarły, gdzie niemasz miłości;
A ich dziewice... O! ileżkroć razy
Tyś milsza od nich, choć cię nie obciska
Tak lekka szata z przezroczystéj gazy,
Chociaż na czole twojém nie połyska,
Ni czysty brylant, ni perła ze wschodu.
Bogdaj twe czucia nie uległy zmianie!
A chętnie z tobą, drogi mój aniele!
I niesktamaną miłość mą podzielę,
I dobrowolne na wieki wygnanie.

STARZEC.

Kochasz nas, chociaż w bogatym narodzie
Wzrosłeś, spędziłeś wiek dzieciństwa złoty;
Nie zawsze jednak błogo na swobodzie,
Temu kto z młodu przywykł do pieszczoty.
Słuchaj, opowiém żyjące podanie:
Przed wielu laty, mieszkaniec południa
Skazany został do nas na wygnanie.
(Wiedziałem, ale z wiekiem pamięć się utrudnia,
Ja zgubiłem z pamięci wygnańca nazwanie).
Gniotły go lata do grobowéj cieśni,
Lecz duszą jeszcze był rzeski i młody;
A miał dar wielki, cudowny dar pieśni,
I głos podobny do szelestu wody.

I zyskał miłość między naszym ludem,
I długo żyjąc na brzegach Dunaju,
Czarował pieśnią, — pieśnią jako cudem
Za żywo ludzi unosił do raju!
Słaby, lękliwy gdyby z pieluch dzieci,
Nie mógł się żadném zatrudnić rzemiosłem;
Inni za niego stérowali wiosłem,
Zwietza i ryby poławiali w sieci.
A kiedy rzekę pościnały lody,
I mroźne wichry świsnęły nad uchem,
Oni pamiętni na starca wygody
Jak świętość miękkim otulali puchem.
Ale to życie opłakanéj doli,
Życie tułacze śrzód obcéj gromady
Starzec nie przeniósł. Snuł się jak trup blady,
Powiadał wszystkim, że to z bożéj woli,
Ponosi karę za spełnione winy;
I ciągle wołał — zbawienia godziny.
I przez czas cały jak koczował z nami,
Po nad sinémi Dunaju wodami,
Tęsknił, wyrzekał, łzy ronił niewieście,
O swém rodzinném wspominając mieście.
Przekazał nawet, by po jego skonie,
Ostatnią jeszcze uczcili posługą;
I znieśli kości na ojczyste błonie.
Bo i po śmierci, nie byłby mógł długo
Spać snem spokojnym — w obcéj ziemi łonie!

ALEKO.

Otoż łos synów, z twojego orszaku,
O możny Rzymie! potężna dzierżawo!
Spiewaku bogów, miłości śpiewaku,
Cóż to jest, powiedz, co zwą ludzie sławą?
Czy to głos pochwał, pośmiertne ołtarze,
I wiekiem wiekóm marna cześć podana,
Lub pod szałasem, śrzód dymu, przy gwarze,
Niesforna powieść dzikiego Cygana?

(przekł. *Michał Julijan* Kamiński).

DO MAJORA WILKOWSKIEGO.

Jestże szczęśliwszy kto w świecie
Jak my w artystowskim stanie?
Ty szczypiąc na *Arfinecie* (1).
Ja klepiąc po *Forte-Pianie?*
Myśl w dobrą chwilę poczęta
Nigdy nie spali z panewki (2)
Wiwat! niech żyją talenta
Ja, ty, Arfinet i Śpiewki!

Słyszałem mówiących wielu:
Miłość najwyższą zapłatą!

---

(1) Szczypać dykcya francuzka, *np pincer le guitarre*.
(2) Bo trzeba wiedzieć, że komponujemy.

Cny kollego! przyjacielu!
Nie nam to skarżyć się na to.
Wszak łacno łowimy w pęta
Matrony i hoże dziewki;
Wiwat niech żyją talenta,
Ja, ty, Arfinet i Śpiewki!

Ktoś szczęścia szukał w żołnierce,
W łeb wzięły na lodzie zamki,
Ten w szkaplerz zaszył swe serce,
Ten dworskiéj ima się klamki;
Próżno gdy gra jest zawzięta,
Sypać na dyski, na newki....
Wiwat! niech żyją talenta,
Ja, ty, Arfinet i Śpiewki!

Nam zaś fortuna choć bryka,
Zawsze wszelakoż wesoło,
Zawsze nam w głowie muzyka,
Choć często boso i goło;—
Koléj losów niepojęta,
Lecz wesołość nie przelewki....
Wiwat! niech żyją talenta,
Ja, ty, Arfinet i Śpiewki!

(w Berlinie S. M.)

Roku 1838.

UWIADOMIENIA LITERACKIE.

W drukarni *Józefa* Zawadzkiego, w tych dniach opuszczają prassę: *Piosnki Wieśniacze znad Niemna* i *Dzwiny*, tegoż samego autora, którego Piosnki Wieśniacze znad Niemna, wydane w r. 1837, publiczność czytająca z wielkim upodobaniem przyjęła. Zapewne szanowny autor nie zakończy jeszcze na tym zbiorze i w dalszym czasie innémi piosnkami ludu biało-ruskiego piśmiennictwo nasze zbogaci.— Przypominamy się tylko o texta oryginalne tych prawdziwie naiwnych piosnek. Będzie to dla Słowiano-filów arcy szacownym skarbem, zwłaszcza, że w dyalekcie sławiańsko-białoruskim, niceśmy prawie dotąd drukiem ogłoszonego nie mieli, prócz niektórych piosnek weselnych, w Tygodniku wileńskim i kupalnych kilku, w Dzienniku Wileńskim przed dwudziestu laty ogłoszonych wraz z opisami obrzędów ludu, przy których śpiéwać się zwykły.

— P. *Teofil* Glücksberg od dawna już ma zamiar ogłoszenia drukiem w zupełnéj, poprawnéj i ozdobnéj edycyi dzieł wszystkich *Kazimierza* Brodzińskiego. Upodobanie z jakiém zawsze przyjmowane były od czytelników pisma tego autora, tudzież sława jakiéj sprawiedliwie nabył, tém pożądańszém

czynią przywiedzenie do skutku tego zamiaru, który sumiennie i umiejętnie wykonany, prawdziwą stanie się dla pismiennictwa naszego przysługą.

—Nie dawno wyszła nakładem *Ernesta Günthera* w Lesznie: *Encyklopedya polska* 1szy zeszyt. *Aa—Cha.* Wychodzić będzie poszytami grubości pięciu arkuszy, i w przeciągu roku zostanie ukończoną. Cena każdego poszytu: na pięknym drukowym papiérze wynosi 10 srg. czyli 2 złtp. na welinowym papiérze 20 srg. czyli 4 złtp.

Tygodnik literacki tak się o tém dziele wyraża: „O użyteczności dzieła tego nie tylko dla młodzieży, lecz i dla każdego, który życzy sobie mieć pod ręką dzieło, mogące go albo bliżéj obeznać z jakim przedmiotem z dziejów lub jeografii Polski, albo też wskazać, gdzie obszerniejszą wiadomość powziąć można, nie potrzebujemy prawie wspominać; dość tu oddadź, iż wybór artykułów bardzo jest trafny, iż prawie wszystkie są ciekawe i dla każdego zajmujące. Cena dzieła tego jest tak nizka, iż mamy nadzieję, że dzieło będzie w ręku każdego miłośnika literatury ojczystéj.”

Zamówienia przyjmują wszystkie księgarnie pruskie, polskie, galicyjskie, rossyjskie i niemieckie.

—Encykłopedyi powszechnéj tom piérwszy i drugi z rycinami, ktoby sobie życzył nabyć

za połowę téj ceny, jaka kosztowała przez prenumeratę, raczy dowiedzieć się w magazynie mebli w domu N. 548. w Warszawie przy starym teatrze-

(Kurjer Warszawski, d. 3 Sierpnia 1839 r. (n. s.) N. 203 str. 983.)

SPISANIE RZECZY, W TOMIKU SIÓDMYM ZAWARTYCH.